

# Sharpe Alice

## Miedziaki na szczęście

*Gdy dziewczyna z wielkiego miasta utknie pośrodku pustyni, finał takiej przygody może być tragiczny, Roxanne dopisało szczęście, gdyż z opresji wybawił ją lekarz z pobliskiego miasteczka. Jack udzielił jej pomocy, lecz nie okazał się zbyt gościnny. Czyżby niepokoiła go sprawa, która sprowadziła Roxanne do Kalifornii?*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Po trzech godzinach wyczerpującego marszu Roxanne Salyer nie miała wątpliwości, że wyprawa, której się podjęła, to istna droga przez mękę. Powinna była zostać w pobliżu samochodu i spokojnie czekać na pomoc. Auto, ofiara spotkania z zabłąkanym królikiem, z którego to incydentu zwycięsko wyszedł królik, utknęło na kalifornijskiej pustyni. Roxanne była zdana na własne siły i chociaż jej lniany kostium i eleganckie lekkie sandały zupełnie nie nadawały się do pieszych wycieczek po pustynnych drogach, postanowiła ruszyć na poszukiwanie pomocy.

Jednym słowem początek podróży okazał się raczej niefortunny.

Chyba jesteś dla siebie zbyt pobłażliwa, zakpiła w duchu. Zachowałam się jak ostatnia kretyńka, dogadywała sobie, patrząc na bezkres piasku i zamglone szczyty gór na horyzoncie. Wokół nie było ani jednego budynku czy budki telefonicznej. Nic, zupełnie nic.

Czy ktoś w ogóle jeździ tą cholerną drogą?

Zdenerwowanie nagle ustąpiło miejsca przerażeniu. Zadrżała mimo upału. Zdarzało się przecież, że na pustyni ludzie ginęli z wyczerpania.

Że też wcześniej nie wpadła na pomysł, aby zadbać o odpowiedni strój, zaopatrzyć się w wodę, w ogóle lepiej przygotować się do tej podróży. No cóż... Teraz pozostawało jedynie iść naprzód. Wlokła się więc dalej, aż dotarła do rozwidlenia dróg. Główny szlak ciągnął się prosto, drugi skręcał na zachód, w stronę gór. Żadna z dróg nie wyglądała na uczęszczaną. Koszmar!

Instynkt jej mówił, żeby pójść prosto, ale niby jaką orientację w terenie może mieć jakiś tam instynkt?

- Idę na zachód - mruknęła, szukając pocieszenia w fakcie, że właśnie gdzieś tam na zachodzie leży Pacyfik.

Zrobiła krok i lewy sandalek rozpadł się na pół.

Przez chwilę stała na jednej nodze. I co teraz? - myślała gorączkowo, czując ogarniającą ją rozpacz.

Jack Wheeler zmarszczył brwi i ponownie spojrzał na biały osobowy samochód, który porzucono na drodze prowadzącej do jego domu.

Zatrzymał ciężarówkę, wzbijając tumany kurzu, wyskoczył z szoferki i rzucił okiem na tablice rejestracyjne. Auto pochodziło ze stanu

Waszyngton. Po śladach na przednim zderzaku można było poznać, że właściciel musi mieć niezły temperament. Jack pochylił się i zlustrował wnętrze pojazdu. Na siedzeniu pasażera dostrzegł pustą butelkę po wodzie, błękitny zakiet od damskiego kostiumu i plastikową teczkę z nadrukowanym logo.

Usta wykrzywił mu grymas zniecierpliwienia. Miał nadzieję, że nie jest to kolejny podstęp. Dobrze pamiętał dziennikarkę z wielkiego miasta, która jakiś czas temu próbowała zdobyć informacje o jego prywatnym życiu. I choć w porę

przejrzał jej zamiary, nie zdołał zapobiec opublikowaniu tych niesamowitych bredni...

Jednak to działo się wkrótce po odejściu Nicole, kiedy ciekawość opinii publicznej nie została jeszcze zaspokojona.

Poza tym żaden wścibski łowca sensacji nie wybrałby na postój takiego miejsca. Rozsądek nakazywał albo podjechać bliżej domu, albo ukryć się w górach.

Przyklęknął i zajrzał pod samochód. Czarna kałuża i wbity w podwozie odłamek skały tłumaczyły, czemu auto stało na środku drogi, nie wyjaśniały jednak, gdzie podział się kierowca.

Rzucił niecierpliwie spojrzenie na kieszonkowy zegarek, który odziedziczył po ojcu. Nie miał czasu zajmować się cudzymi kłopotami. I tak już był spóźniony.

A jednak. Na pustyni nie wolno zostawić człowieka bez pomocy. Nawet jeśli to tylko wścibski pismak.

Przede wszystkim trzeba zepchnąć blokujący drogę pojazd. Klnąc pod nosem, położył się na brzuchu i z wielkim trudem wyciągnął kamień. Z ciężarówki przyniósł linę. Kilka minut później białe auto stało już na poboczu.

Jack ruszył na północ. W miejscu, gdzie szosa się rozwidlała, zatrzymał ciężarówkę i ze schowka wyjął lornetkę. Rozgrzane powietrze falowało jak wody oceanu. Na drodze prowadzącej do domu nie było żywej duszy, lecz kiedy spojrzał na zachód, wydało mu się, że dostrzegł niewyraźną sylwetkę. Czy to możliwe, żeby kierowca samochodu zawędrował tak daleko?

Podjechał bliżej i zwolnił. Ze zdumieniem patrzył na młodą, szczupłą kobietę, która wydawała się równie mocno zaskoczona tym spotkaniem.

Była wysoka. Długie ciemnoblonde włosy związała wysoko w koński ogon, na prostym nosie tkwiły okulary przeciwsłoneczne. Jedwabną, niedawno jeszcze białą bluzkę i elegancką jasnoniebieską spódniczkę pokryła warstwa kurzu. Najbardziej zdumiewające okazały się jej stopy. Na prawej tkwił biały sandał, który w warunkach pustynnych wyglądał dość absurdalnie, zaś lewa stopa obuta była w... torbę.

Spojrzał jeszcze raz. Nie, to nie przywidzenie. Kobieta rzeczywiście wetknęła nogę do plecionej ze słomki torebki. Teraz w tym prowizorycznym bucie kuśtykała w jego stronę.

Gdy wyskoczył z ciężarówki, nieznajoma próbowała się uśmiechnąć, lecz wyschnięte usta wykrzywiły się tylko. Mimo spalonej skóry i warstwy kurzu nie sposób było nie dostrzec, jaka jest ładna. Co tam ładna, wręcz śliczna. Co mi do tego? - czym prędzej zganił się w duchu.

- Kim pani jest? - warknął. Zatrzymała się gwałtownie.

Powinien okazać jej współczucie. Wyglądała tak żałośnie. Jednak to nie jej stan sprawił, że Jack poczuł się bardzo poruszony. Przeraziły go jego własne zmysły, które po latach spoczynku znów dały o sobie znać. Nagle zauważył, że powietrze wokół pachnie inaczej, jakoś bardziej intensywnie, a słońce grzeje mocniej.

- Czego pani tu szuka? - mruknął zrzędlawie. Nie była w jego typie.

Zawsze wolał niskie kobiety o ponętnych, zaokrąglonych kształtach, a przede wszystkim takie, które pilnowały własnego nosa.

- Nie widziała pani znaku, że to teren prywatny? - zapytał trochę łagodniej.

- Czy to woda? - wysapała w odpowiedzi, nie odrywając wzroku od baniaka.

Przywołał się do porządku i zdjął nakrętkę. Kobieta chwyciła pojemnik i natychmiast podniosła go do ust. Patrzył, jak zachłannie łyka życiodajny płyn.

- Kim pani jest? - powtórzył pytanie, kiedy już zaspokoila pierwsze pragnienie.

- Roxanne Salyer - odparła, z trudem łapiąc oddech. Grzbietem dłoni otarła usta, rozmazując pył pokrywający jej twarz.

- Czy to pani zostawiła samochód na drodze? Kiwnęła głową, oddając baniak.

- Niech go pani zatrzyma - zaproponował. - Proszę pić mniejszymi łykami.

Przyglądał się jej przez chwilę, w końcu utkwiał wzrok w prowizorycznej osłonie lewej stopy.

- Zraniła się pani?

Przygryzła usta, które znów wykrzywił grymas.

- But mi się rozleciał - wyjaśniła.

- Nie ma pani skurczów? Albo zawrotów głowy? Nie jest pani niedobrze?

- Nie, wszystko w porządku. Cieszę się, że pana spotkałam.

- Co pani tu robi?

- Przyjechałam odnaleźć pewną kobietę.

Poczuł rozczarowanie. Cholera, z pewnością chciała zdobyć informacje o Nicole.

- Rozumiem. Jeszcze nie dotarło do pani, że moja była żona dawno stąd wyjechała?

- Wyjechała?

- Właśnie - burknął, mierząc ją lodowatym spojrzeniem. - Nicole uciekła z artystą, który malował jej portret. To chyba dla pani nic nowego. Czego jeszcze pani chce? Dla jakiego szmatławca pani pracuje?

- Nie pracuję w gazecie. Jestem z telewizji...

- Co takiego? Proszę przyjąć do wiadomości, że moje prywatne życie nie będzie...

- Pracuję dla sieci telewizyjnej w Seattle - przerwała mu. - Nie mam pojęcia, kim pan jest i pierwsze słyszę o pańskiej żonie. Szukam mniej więcej sześćdziesięcioletniej kobiety. Nazywa się Dolly Aames.

- Ta wędrowka mogła się dla pani źle skończyć - warknął, ponownie rozeźlony.

- Wiem o tym. Czy mogłabym pożyczyć pańską komórkę?

- Nie mam przy sobie telefonu. Czemu zostawiła pani swoją?

- Nie działa - parsknęła ze złością. - Bateria się wyczerpała, kiedy dzwoniłam do swojego agenta ubezpieczeniowego. Zaproponował, żebym wezwała miejscową pomoc drogową.

- Podrzucę panią do telefonu.

- Czy zna pan Dolly Aames? - zapytała, kuśtykając u jego boku.

- Nigdy o niej nie słyszałem - odparł, otwierając drzwi szoferki. Ze schowka wyjął opakowanie aspiryny i wytrząsnął dwie tabletki. - Proszę je połknąć.

Zażyła aspirynę i wdrapała się do kabiny.

- O Boże, cień - szepnęła z ulgą. Jedną ręką przyciskała baniak z wodą, drugą uniosła okulary. - Jak w raju - westchnęła zadowolona.

Spodziewał się niebieskich oczu. Przecież blondynka o tak jasnej cerze powinna być niebieskooka. Tymczasem Roxanne miała oczy czekoladowobrązowe, ciemne, zmysłowe. A przy tym dobre, inteligentne i pełne humoru. Ale przede wszystkim niebezpieczne.

- Dziękuję - odezwała się.

Kiwnął niedbale głową i zatrzasnął drzwiczki. Machinalnie uniósł kapelusz i ponownie nasadził go na głowę. Powoli obszedł samochód, próbując zepchnąć myśli o tej kobiecie w najciemniejsze zakamarki umysłu.

Uspokoiła się, dopiero gdy zawrócił ciężarówkę. A i wówczas trudno jej było się odprężyć. To chyba w ogóle niemożliwe, pomyślała, kiedy siedzący obok nieznajomy traktuje cię jak idiotkę.

- Nie poznałam pańskiego nazwiska - mruknęła. Rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Jack Wheeler.

Miała wrażenie, że nie spodobało mu się to, co zobaczył, bo marszcząc brwi, czym prędzej odwrócił wzrok. Widocznie nie odpowiadała mu rola wybawcy.

Jack dobiegał czterdziestki. Opalona skóra miała ciepły brązowy odcień, krótkie brązowe włosy z rozjaśnionymi przez słońce pasemkami przykrywał niemal całkowicie wysłużony stetson. Znoszona koszula i sprane dżinsy dopełniały stroju. Rysy miał mocne i surowe, choć możliwe, że to wrażenie było spotęgowane wyrazem znużenia na twarzy. Sądząc po stroju i zwojach drutu kolczastego, który dostrzegła w skrzyni ciężarówki, był ranczerem, być może też lokalnym działaczem politycznym. To by tłumaczyło jego zdenerwowanie wizytą reportera.



W tych okolicach zapewne było sporo podobnych mu mężczyzn: rozczarowanych, rozgoryczonych, którzy wiele utracili.

Na przykład... żony.

Mimo woli porównywała Jacka - silnego, szorstkiego mężczyznę, z wytwornym, delikatnym dzieciakiem, jakim był Kevin, jej były chłopak. Ten cholerny przystojniak z redakcji wiadomości zaledwie cztery dni temu zmieszał ją z błotem...

Odsunęła wspomnienia o Kevinie i zainteresowała się różową paczuszką z ozdobną kokardą, która leżała na półeczce między siedzeniami. Pewno prezent dla kobiety, pomyślała.

- Szukam Doiły Aames - odezwała się, kierując myśli na sprawę, w której tu przyjechała.

- Już to pani mówiła.

- Kiedy ostatnio o niej słyszano, mieszkała gdzieś tutaj.

- Gdyby pani znajoma postanowiła zaszyć się w tym zakątku i zerwała kontakt z domem - oznajmił z mściwą satysfakcją - byłbym ostatnią osobą, która zdradziłaby jej kryjówkę. Ale naprawdę o niej nie słyszałem. Dojechali do rozwidlenia dróg i Jack skierował ciężarówkę w stronę, którą wcześniej Roxanne uznała za niewłaściwą.

- Gdzie doszłabym tamtą drogą? - zapytała.

- Nie wiedziała pani, dokąd idzie? Uznała, że nawet nie warto odpowiadać.

- Nie powinna pani schodzić z głównej drogi - zauważył sucho. - Całe ranczo jest prywatną własnością. Wszędzie są znaki.

- Nie zauważyłam - powiedziała zgodnie z prawdą. Podniosła do ust baniak. Na pewno żaden przybity do płotu znak nie powstrzymałby jej przed wkroczeniem na czyjś teren. Zamierzała spełnić najgorętsze pragnienie babci bez względu na wszelkie przeszkody.

- Nie rozumiem, jak można się wybrać na pustynię w takim stroju - burknął. - Powinna pani mieć ze sobą wodę i nie ruszać się od auta. A przede wszystkim użyć zakietu do osłonięcia głowy. Skoro już zdecydowała się pani na tę wędrówkę, czemu skreśliła pani z szosy? Gdybym akurat wtedy nie przejeżdżał... - zawiesił głos.

Wiedziała dobrze, co miał na myśli, ale nagle się zbuntowała.

- Strasznie mi przykro, że nie zdałam egzaminu w szkole przetrwania. Szosą musiałabym wracać spory kawałek drogi, a wydawało mi się, że góry są bliżej, i tam właśnie chciałam dotrzeć.

Z kieszeni wyciągnęła pożąłką kopertę.

- To list od Dolly Aames do mojej babci - wyjaśniła. - Napisała go prawie czterdzieści lat temu. Widzi pan stempel? Wysłano go z Tangent, w styczniu 1964 roku.

Zahamował gwałtownie na środku drogi.

- Chce mi pani powiedzieć, że próbuje odnaleźć osobę, o której nie słyszano od czterdziestu lat? Kim pani jest, do diabła? Prywatnym detektywem? Łowcą nagród?

- Już panu mówiłam. Jestem producentką telewizyjną w Seattle.

- Producentką? Raczej spodziewałbym się pani przed kamerą.

- Prawdziwa władza kryje się po drugiej stronie kamery.

- Ach, władza - powiedział drwiąco.
  - Nie, to nie tak. Po prostu lubię redagować teksty, a nie ciepię makijażu, no i zawsze mam problemy z fryzurą.
  - Podniósł wzrok na jej włosy. Zdawała sobie sprawę, że muszą być w opłakanym stanie, ale widocznie było gorzej, niż przypuszczała, bo Jack nawet nie próbował zaprzeczać.
  - Czy ta kobieta jest zbiegłym więźniem? A może zamordowała kilku mężów? - zakpił.
  - Skądże znowu!
  - To po co jechała tu pani aż z Seattle? Czy to pani krewna?
  - Nie, ale dawno temu przyjaźniła się z moją babcią.
  - Przejechała pani taki szmat drogi, żeby odnaleźć starą przyjaciółkę rodziny? Czemu pani babcia czekała z tą sprawą aż tyle lat?
  - To dość skomplikowane - odparła wymijająco. Nie miała ochoty zaspokajać ciekawości tego faceta. Prawdę mówiąc, nie chciała w ogóle myśleć o chorobie babci Neli. - Babcia próbuje odtworzyć zespół, w którym kiedyś obie śpiewały - dodała.
  - A pani? Czego pani chce? Spojrzała mu prosto w oczy.
  - Pomóc mojej babci - odparła.
  - Hmm. I żadnej z was nie przyszło do głowy, że Dolly Aames mogła się stąd wyprowadzić albo umrzeć?
  - Myślałam o tym, ale jakoś trzeba zacząć. Nadal kręcił głową z niedowierzaniem.
- Otworzyła kopertę i wyciągnęła małe, wyblakłe zdjęcie młodej kobiety na tle dość oryginalnego, choć raczej maka-

brycznego ogrodzenia, w którym na słupach osadzono białe czaszki krów. Podsunęła mu fotografię pod nos. Niechętnie wziął ją do ręki.

- Zatrzymałam się na noc w Tangent. Od właściciela motelu dowiedziałam się, że zdjęcie zrobiono na skrzyżowaniu tej szosy i pustynnej drogi. Wyjaśnił mi, jak tu dojechać.

- Zgadza się - burknął, oddając jej odbitkę. - Zdjęcie rzeczywiście zrobiono tutaj, ale to o niczym nie świadczy. Te czaszki stanowiły swoistą atrakcję turystyczną. Póki nie pozbyłem się tej wątpliwej ozdoby, ludzie przyjeżdżali z bardzo daleka, żeby się fotografować na ich tle. Nigdy natomiast nie słyszałem o Dolly Aames. - Może Sal coś wie - dodał po chwili.

- Naprawdę? Kto to jest Sal?

- Właściwie Sally Collins, ale nie radziłbym tak się do niej zwracać. Ja w każdym razie nie odważyłbym się nazwać jej inaczej niż Sal. Uprzedzam tylko, że nie jest tak rozmowna jak ja.

- Pan uchodzi za rozmownego? Wolne żarty! Popatrz na nią uważnie.

- Dziewczyno, nie przyszło ci do głowy, że być może Dolly Aames wcale nie chce zostać odnaleziona?

No nie. O tym nie pomyślała.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Duży, biały dom z czerwonym dachem, w otoczeniu jaskrawych kwiatów pokrywających pustynne krzewy, sprawiał wrażenie oazy. Efekt psuł pęk różowych i białych baloników przywiązanych do staromodnej pompy.

- To twój dom? Jest piękny!

Spojrzał na nią podejrzliwie. Objechał dom i zaparkował przed niewielką stodołą. Obok stał niski, długi budynek, do którego z jednej strony przylegał korał podzielony na sektory. Wewnątrz były dwa konie, które teraz wolno podeszły do ogrodzenia.

- Jakie śliczne! - zachwyciła się Roxanne. - Jak się nazywają?

- Siwa klacz to Sprite. Jest żrebna. A kasztanek nazywa się Milo -

odpowiedział Jack, patrząc na nią z ukosa.

Kiedy wysiadł z szoferki, kasztanek zarżał, a klacz zaczęła podrzucać łbem. Jack pogłaskał zwierzaki, po czym wrócił do ciężarówki po różowe pudełko. Kiedy napotkał spojrzenie Roxanne, uśmiechnął się onieśmielony.

Ładnie mu z tym uśmiechem, pomyślała.

Nagle w bocznych drzwiach stajni pojawił się potężny mężczyzna w czarnym kapeluszu na głowie. Mężczyzna klepnął dłońią w udo i natychmiast przy jego nodze pojawił się kudłaty czarno-biały pies.

- Carl, to jest Roxanne - przedstawił ją Jack, zamykając samochód. - Jak się ma nasza klaczka?

Carl kiwnął głową na powitanie, zatrzymując wzrok na twarzy Roxanne odrobinę dłużej, niż to było konieczne. Niepewnie dotknęła policzka. Pod palcami poczuła szorstki pył.

- Świetnie daje sobie radę.

Jack popatrzył w stronę domu i ponownie na Roxanne, jakby się nad czymś zastanawiał. W końcu oznajmił:

- Idę do żrebaka. Chcesz zobaczyć?

Marzyła o telefonie, wodzie i informacji w sprawie Doity Aames, a mimo to odpowiedziała:

- Jasne.

Otworzył drzwi stodoły i wszedł do środka. Carl ruszył za Jackiem. Roxanne poczłapała za nimi, uważnie patrząc pod nogi, żeby nie skaleczyć bosej stopy.

Wnętrze było chłodne i ciemne, pełne zapachu siana i koni. W głębi leżały sterty słomy i siana, na ścianach wisiały elementy uprzęży.

Spośród czterech boksów tylko jeden był zajęty. Płowa klacz i jej żrebię spojrzały na ludzi z wyraźnym zaciekawieniem.

- No proszę. Czyż nie jest śliczna? - Jack przechylił się przez bramkę boksu. Głaskał aksamitny pysk klaczy, przyglądając się żrebakowi. -

Świetnie się spisałaś, Goldy. Urodziłaś prawdziwą piękność.

Klacz zarżała. Roxanne mogłaby się założyć, że zwierzę zrozumiało pochwałę Jacka.

Zniecierpliwienie gdzieś się ulotniło, a w jego miejsce pojawił się instynkt dziennikarza. Historyjki z noworodkami wszelkiej maści zawsze świetnie się sprzedawały. Wszyscy wiedzieli, że to samograje.

Na przykład obraz tej klaczki i potężnego, przystojnego faceta, który ją podziwia, przechylając się przez ogrodzenie. Zacieniony boks i słoneczny promień kładący się plamą na zasypanej sianem podłodze, tak, to byłoby wspaniałe....

Podskoczyła gwałtownie, kiedy klacz zniecka trąciła ją pyskiem w ramię. Gdy Roxanne krzyknęła, obaj mężczyźni spojrzeli na nią zdziwieni.

- Pierwszy raz jestem tak blisko koni - wymamrotała speszona.

- Naprawdę? - zdumiał się Jack. Palcami przeczesywał króciutką grzywę źrebięcia. Malutka klaczka miała sierść koloru słomy, jaśniejszą niż jej matka. Od czoła do nozdrzy ciągnęła się biała strzałka, na przedniej lewej nodze widniała biała skarpetka.

- Jest prześliczna. Chyba nie ma na świecie drugiej takiej piękności - szepnęła Roxanne.

- Z pewnością jakaś by się znalazła - powiedział Jack, obrzucając ją baczny spojrzeniem.

Chwileczkę, czy to miał być komplement? Roxanne trochę się zmieszała, ale już po chwili zrozumiała, że słowa Jacka wcale nie były skierowane do niej. Tuż za progiem stała malutka dziewczynka w dżinsowych ogrodniczkach, różowej bluzeczce i bucikach w tym samym kolorze. Jasne włoski miała związane w kucyki. Bez wątpienia była prześliczna.

- Tatuś! - pisnęła, pędząc do Jacka z wyciągniętymi rączkami i uśmiechem na buzi.

Jack chwycił dziewczynkę i sadzając ją na biodrze, zwrócił uwagę:

- Cśś. Przestraszyłaś Goldy.

- I maleństwo - pisnęła dziewczynka. - Czy to dla mnie? - zapytała, patrząc na różową paczuszkę.

- Tak, ale dostaniesz to podczas przyjęcia.

Dziewczynka dopiero teraz dostrzegła Roxanne. Zawstydzona, ukryła główkę na ramieniu ojca. Widać było tylko jedno niebieskie oko.

Roxanne uśmiechnęła się niepewnie. Cóż, brak jej było doświadczenia.

Nigdy nie miała do czynienia ani z końmi, ani z małymi dziećmi.

- To moja córka, Ginny - przedstawił dziecko Jack. -Ginny, ta pani ma na imię Roxanne.

- Cześć, Ginny. - Roxanne starała się mówić miło i spokojnie. - Czy dziś są twoje urodziny?

Ginny oderwała głowę od piersi ojca i uśmiechnęła się szeroko.

- Tak - odpowiedziała, podnosząc do góry trzy pulchne paluszki.

- Pączuszkę, a jak tam szczeniaczki Aggie? - spytał ojciec. Połaskotał ją i dziewczynka, chichocząc, zsunęła się na ziemię. Z nieśmiałym uśmiechem spojrzała na Roxanne.

- Chcesz zobaczyć?

- Szczeniaczki?

- Ciii. - Przycisnęła mały paluszek do ust i wyszeptała: - To tajemnica.

- Chyba rozumiem, o co chodzi - wyjaśnił Jack, kiedy ruszyli za Ginny.

Roxanne szła ostrożnie. Słoma wyglądała niewinnie, ale potwornie kłuła.

Ginny sprawnie wdrapała się na górę po belach siana. Widać było, że często uprawia taką wspinacz-



kę. Jack ruszył za nią, lecz po chwili odwrócił się, podał rękę Roxanne i pociągnął ją za sobą. Zachwiała się, a kiedy wzmocnił chwyt, zadrżała gwałtownie.

- Wszystko w porządku?

- Nie przywykłam do wspinania się na bele siana.

- Pomóc ci czy dasz radę sama?

- Dzięki, złapałam już równowagę - odparła, choć było to bardzo dalekie od prawdy. Jego dotyk podziałał na nią elektryzująco. Co się z nią działo? Może zawroty głowy były po prostu skutkiem odwodnienia?

Wdrapali się za Ginny, która w milczeniu pokazywała im swój sekret.

Roxanne pochyliła się nad szczeliną między belami siana. Z zagłębienia patrzyło na nią sześć par oczu.

Mój Boże, to kocięta. Jeden rudy, dwa czarne, szaro-biały, biały i pręgowany. Maleńkie kociaczki, z maleńkimi różowymi języczkami i niebieskimi ślepkami.

- Możesz je pogłaskać - zachęcał Jack.

- Lepiej nie. - Zdaniem Roxanne kociaki były za małe na pieszczoty.

- To Blinky, Fuzzy, Foggy, Casper, Blackie i George - przedstawiła Ginny maleństwa.

W tym momencie obok jej rączki pojawiła się kocia mama. Wskoczyła do wygrzebanej w sianie nory i położyła się na boku. Kociaki natychmiast ułożyły się przy niej w rzędzie i zabrały do ssania. Kotka bezzwłocznie zajęła się toaletą dzieci.

- Nie ma to jak macierzyństwo, prawda? - odezwał się Jack.

- Trudno mi o tym coś powiedzieć - bąknęła niepewnie Roxanne.

- Zostawimy już Flossy i jej dzieci w spokoju - zwrócił się Jack do córki. Podał rękę Roxanne, pomagając jej zejść na ziemię i ruszył za Ginny, która już biegła do drzwi. Roxanne zwolniła kroku. Musiała odzyskać równowagę i zebrać myśli.

- Słodki dzieciak z tej naszej Ginny, co? - W bramce boksu ukazał się Carl z wiadrem pełnym ziarna.

- Co takiego? Ach tak. Jest urocza. - Mimowolnie uśmiechnęła się. Nie miała pojęcia, że małe dziewczynki mogą być takie... no... takie słodkie. Niezadowolona ze swojej reakcji postanowiła zmienić temat. - Carl, jak długo tu mieszkasz?

- Właściwie całe życie.

- Słyszałeś może o kobiecie o nazwisku Dolly Ames? Teraz ma około sześćdziesiątki. Wiem, że mieszkała w tej okolicy, może nawet w tym domu.

- Ten dom należy do Wheelerów znacznie dłużej - odparł, drapiąc się po brodzie. - Zbudował go dziadek Jacka. Nie, nie pamiętam, żeby w okolicy mieszkał ktoś o takim nazwisku. Przykro mi.

- No nic, dziękuję. Jack obiecał, że będę mogła skorzystać z telefonu.

- Jasne, chodź do domu.

- Ślicznie tu - powiedziała, gdy wyszli na podwórze.

- Jasna sprawa! - Carl uśmiechnął się z zadowoleniem. - Niestety, niemal cała robota jest na mojej głowie, bo Doc ma mało czasu.

- Doc? - zdziwiła się.

- No, ten facet, który cię tu przywiózł.

- Jack Wheeler?

- Właśnie. Wszyscy nazywają go Doc Wheeler, jak jego ojca.  
Podeszli do kamiennego ganku, gdzie czekał na nich Jack. Bez słowa podał Roxanne słuchawkę bezprzewodowego telefonu.

- Goście niedługo zaczną się zjeżdżać - zwrócił się do Carla. - Może spróbujemy przekonać Aggie, że lepiej jej będzie z dziećmi w stodole. Carl kiwnął głową i wszedł do środka. Jack tymczasem, uprzedzając pytanie Roxanne o książkę telefoniczną, wystukał numer. Usłyszała nagrany na sekretarkę głos, który informował, że Oz z warsztatu samochodowego jest w terenie, ale odezwie się natychmiast po odsłuchaniu wiadomości. Roxanne poprosiła o kontakt i po chwili wahania dodała, że jest w domu Jacka.

- Zdaje się, że jeszcze ci trochę poprzekadzam.

- Oz bywa trochę... jakby to ująć... nieprzewidywalny - burknął Jack. - Na pewno odezwie się w swoim czasie, ale trudno powiedzieć kiedy. - Przez chwilę patrzył na nią uważnie, po czym dodał: - Urządzamy dziś przyjęcie dla Ginny.

- Masz uroczą córeczkę.

Twarz Jacka złagodniała. Widać było, że nie widział świata poza swoją córeczką. Roxanne trudno było to zrozumieć. Jej rodzice nie rezygnowali ze swoich planów, żeby organizować dla niej przyjęcia. Nigdy...

- Wierzyć mi się nie chce, że kończy już trzy latka - odezwał się. Nagle uświadomiła sobie, że żona Jacka porzuciła nie tylko męża, ale również własne dziecko. Niesamowite! Jak

można zdecydować się na dziecko i chwilę potem je zostawić? Zresztą, nie sposób też zrozumieć, jak mogła zrezygnować z takiego faceta jak Jack!

- Carl mi powiedział, że jesteś lekarzem. Jaką masz specjalizację?

- Lekarz rodzinny. Pracuję w przychodni w Tangent. Jestem przedstawicielem wymierającego gatunku małomiasteczkowych lekarzy. Zajmuję się wszystkim - od momentu narodzin do ostatnich chwil życia.

- Przyjmowanie porodów - mruknęła pod nosem. - Właściwie mogłam się tego spodziewać.

- Zabawa urodzinowa pewno będzie dla ciebie strasznie nudna... - zaczął z wahaniem.

- Nie szkodzi.

- To wielki dom. Możesz gdzieś spokojnie odpocząć, dopóki nie zjawi się Oz.

- Czy będą też dorośli goście?

- No tak.

- Miejscowi?

- Oczywiście.

- W takim razie, czy mogę się wprosić na twoje przyjęcie? Być może ktoś słyszał o Dolly Aames.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Zawsze zdawało jej się, że nie potrafi się czerwienić, a teraz nagle poczuła, jak palą ją policzki.

- Oczywiście, najpierw się umyję - wyjąkała. - I może znajdą się jakieś buty, które mogłabym pożyczyć.

- Z przyjemnością będziemy cię gościć - odezwał się po chwili.

- Czy Sal też przyjdzie?

- Oczywiście. Uparta jesteś, co?

- Nawet bardzo.

Z domu wyszedł Carl z wielkim pudłem, w którym niósł cztery biało-czarne szczeniaczki. Ich mama, kudłata suka, którą Roxanne wcześniej widziała na podwórzu, kręciła się koło nóg Carla, niespokojnie zaglądając mu w oczy.

- Zaniosę je do stodoły, a potem przygotuję grill i lód.

- Dzięki, Carl. - Jack przytrzymał drzwi. - Tędy - zaprosił Roxanne do środka.

Drzwi prowadziły do przestronnej kwadratowej kuchni z belkowanym sufitem i podłogą z czerwonej terakoty. Duże okna wychodziły na zacienioną stronę domu i w pomieszczeniu panował przyjemny chłód. Blaty szafek zastawione były miskami z sałatą, półmiskami z mięsem, serami, jarzynami i stosami kanapek. Był też oczywiście tort urodzinowy, pokryty różowym lukrem.

Smakowite zapachy przypomniały Roxanne, jak bardzo jest głodna.

Przez głowę przeleciała jej myśl, że może udałoby się coś zwędzić, choćby plasterek ogórka albo kanapkę. Napotkała spojrzenie przystojnej, mniej więcej trzydziestoletniej kobiety, ubranej w dzinsy i obszerną kracistą koszulę, więc na wszelki wypadek przycisnęła ręce do boków. Ciekawe, czy to dziewczyna Jacka? Kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Roxanne, poznaj Grace, naszą gospodynię i najlepszą pod słońcem kucharkę - przedstawił ją Jack.

Grace stała przy kuchni, mieszając w garnku jakąś potrawę.

- Cześć - rzuciła na powitanie.

- Jeśli znajdziesz chwilę czasu, pokaż Roxanne, gdzie

jest łazienka. Może dałabyś jej również coś, w co mogłaby się przebrać na przyjęcie?

- Nie chcę sprawiać kłopotu - zaprotestowała Roxanne.

- To żaden kłopot - zaśmiała się Grace. - Chętnie choć na chwilę oderwę się od garów.

- Zostawiam cię w dobrych rękach - mruknął Jack, zdejmując kapelusz. Opaloną dłonią przegarnął krótkie włosy, nadal nie odrywając wzroku od Roxanne.

Zdołała się na tyle opanować, żeby nie stać z otwartymi ustami. Było w nim coś, czego nie zauważyła przedtem u żadnego z mężczyzn. To nie sprawa atrakcyjnego wyglądu, bo przecież ciągle miała do czynienia z niezwykle przystojnymi facetami, choćby z Kevinem. To coś innego, nieuchwytnego, co sprawiało, że powietrze między nimi było pełne napięcia; coś, co pobudzało jej wyobraźnię do tworzenia niesamowitych scenariuszy. Niemal czuła jego dłonie na swoich włosach, widziała, jak jego usta zbliżają się do jej warg.

Jack przeniósł spojrzenie na Grace.

- A gdzie podziała się Ginny?

- Sal pomaga jej przygotować się do przyjęcia. Jeszcze raz rzucił okiem na Roxanne i wyszedł z kuchni.

Patrzyła za nim zafascynowana. Cholera, ależ on się rusza!

Poczuła na ramieniu dłoń Grace. Z radością spostrzegła, że na palcu kobiety lśni złota obrączka.

- Za kuchnią są nasze pokoje. Chodź, pokażę ci, gdzie jest prysznic.

- Tylko... Chciałam zobaczyć się z Sal. Może wie coś o kobiecie, której szukam. Czy słyszałaś kiedykolwiek o Dolly Aames?

- Nie - odparła Grace. - Nie chcę być nieuprzejma, ale muszę jeszcze przygotować kurczaki do grillowania i...

- Przepraszam, zachowałam się niegrzecznie - przerwała jej Roxanne. - Oczywiście, porozmawiam z Sal później.

- Bierz, co ci tylko będzie potrzebne. Tu masz balsam aloesowy. Ubrania położę na łóżku. Szczęśliwie się złożyło, że niedawno kupiłam nowy komplet bielizny. Jeszcze nie zdążyłam go rozpakować. Nosimy mniej więcej ten sam rozmiar, więc powinien być na ciebie dobry. Zawołaj, gdybyś potrzebowała czegoś jeszcze.

Kiedy za Grace zamknęły się drzwi, Roxanne przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze.

- O Boże - westchnęła.

Jej ubranie było w oplakany stan: brudne smugi, jakieś tłuste plamy, a do tego tu i ówdzie źdźbła siana. Oczami wyobraźni widziała minę pracownika pralni chemicznej, gdy mu zanieśie spódnicę i bluzkę. Z eleganckim sandałkiem trzeba się pożegnać, chociaż to akurat nie będzie trudne, skoro i tak został tylko jeden. A torbę z delikatnej słomki mogła podarować kotom w stodole.

Znacznie gorzej prezentowała się powyżej szyi. Wysuwające się z końskiego ogona kosmyki sterczały na wszystkie strony, na brudnej, spalonej słońcem twarzy widniały purpurowe, białe i brązowe plamy. Z łazienki wychodziła w znacznie lepszym nastroju. W spieczoną skórę wklepała balsam, włosy wysuszyła suszarką. Nie chciała korzystać z kosmetyków Grace, ale ucieszyła się, gdy dostrzegła tubkę z wazeliną. Wycisnęła trochę maści na palec i wtarła ją w popękane wargi. Co za ulga!

W sypialni Roxanne znalazła czarną sukienkę i czarny koronkowy komplet, od którego nie oderwano jeszcze metek.

Biustonosz bez ramiączek i majteczki leżały na niej jak ulał. Nigdy nie miała tak pięknej, wytwornej bielizny. Szkoda jej było pieniędzy na kupowanie rzeczy, których i tak nikt poza nią nie miał okazji podziwiać. Czarna jedwabna sukienka, z gumką w talii i przy dekolcie, sięgała jej do kolan. Kreacji dopełniał śliczny pasek z turkusów łączonych ze srebrem. Roxanne zapatrzyła się na swoje odbicie w lustrze. Ujdzie w tłoku, uznała z zadowoleniem.

No, teraz już mogła wyruszyć na poszukiwanie Sal.

W kuchni Grace podała Roxanne szklanekę mrożonej herbaty.

- Od razu wiedziałam, że sukienka będzie na tobie znakomicie wyglądać.
- Dzięki za pomoc.
- Doc mówił, że musisz dużo pić i kazał mi podać ci jeszcze raz aspirynę. Leży tam na blacie.

Roxanne posłusznie połknęła tabletki.

- Czy Oz dzwonił? - spytała.
- Jeszcze nie.
- Możesz być pewna, że tak prędko się go nie doczekasz
- odezwał się Carl, który właśnie wtoczył do kuchni taczkę pełną woreczków z kruszonym lodem. Już po chwili zajął się przesypywaniem lodu do mis. W pewnej chwili spojrział na Grace i przerwał swoje zajęcie.
- Jak się czujesz, złotko?
- spytał, podchodząc do niej.
- Świetnie.



Roxanne dopiero teraz dostrzegła na palcu Carla identyczną obrączkę jak ta, którą nosiła Grace.

- Nie wolno ci się przepracowywać - powiedział Carl. - Doc mówił, że powinnaś uważać.

Grace czule poklepała go po policzku i podała mu łyżkę z sosem.

- Powiedz, czego tu jeszcze brakuje? Spróbował i przymknął oczy.

- Soli.

Grace dodała szczyptę soli i odwróciła się do Roxanne.

- Jestem w ciąży - wyjaśniła. - W zeszłym roku poroniłam, więc teraz dmuchamy na zimne.

- Rozumiem. Hm... gratuluję.

- Dzięki - odpowiedzieli chórem. Widać było, jacy są szczęśliwi.

Patrzyła, jak pracują ramię przy ramieniu i myślała o atmosferze panującej w domu Jacka Wheelera. Szczęściara z tej Ginny.

Zaraz, przecież mała chowa się bez matki.

Chociaż, jak Roxanne doskonale wiedziała, obecność matki nie jest żadną gwarancją rodzinnego szczęścia. Ona na przykład wychowała się w pełnej, ale bardzo oschłej rodzinie. Matka lubiła powtarzać, że nie przepada za okazywaniem uczuć, zupełnie jakby taka powściągliwość była zaletą szczególnie godną pochwały. Roxanne od wczesnego dzieciństwa wiedziała, że rodzice nie planowali jej narodzin.

Ciekawe, jak ja poradzę sobie z trudami macierzyństwa, o ile oczywiście w ogóle założę rodzinę? Czy okażę się podobna pod tym względem do matki, czy raczej do babci?. Matkę bezustannie denerwowały niewygody związane

z obowiązkami rodzicielskimi, babcia miała anielską wręcz cierpliwość. Matka każdy problem próbowała rozwiązać za pomocą pieniędzy, babcia zaś dobrym słowem.

Roxanne dopiła herbatę i opłukała szklankę w miedzianym zlewie.

- Czy mogłabym w czymś pomóc?

Carl, zajęty ustawianiem puszek z napojami chłodzącymi, pokręcił tylko głową, a Grace powiedziała:

- Naprawdę nie ma potrzeby. Damy sobie ze wszystkim radę. Może wyjdiesz na zewnątrz? Goście już zaczynają się zjeżdżać.

Przez szklane drzwi widać było wyłożone cegłą patio z fontanną i donicami pełnymi kwiatów. Dwa wielkie parasole rzucały cień na stoły, na których ustawiono już część półmisek i ułożono stopy prezentów. Rzeczywiście było tam już kilka osób, jednak nigdzie nie mogła dostrzec Jacka. Nie wiedzieć czemu poczuła rozczarowanie.

- Z kim mam przyjemność? - spytała niewysoka kobieta, przyglądając się uważnie Roxanne. Krótko ścięte siwe włosy okalały zniszczoną, pełną zmarszczek twarz, której nie oszczędziły słońce i upływający czas. - Myślałam, że znam wszystkich znajomych Jacka, ale panią widzę po raz pierwszy - dodała po chwili.

Roxanne przedstawiła się i w odpowiedzi usłyszała:

- Jestem Sal. Miło mi cię poznać, Roxy. - Kobieta podała jej rękę i uśmiechnęła się promiennie.

Roxanne przyszło do głowy, że Sal musi być mniej więcej w tym samym wieku co Dolly Aames. Skoro mieszka tu od dawna, te dwie kobiety mogły się znać lub nawet przyjaźnić.

- Czekam na telefon od Oza - wyjaśniła i opowiedziała, co się wydarzyło.
- Och, dziś na pewno się nie odezwie. - Sal pokręciła głową z powątpiewaniem. - Lisa ma urwanie głowy, bo bliźniaczki się przeziębily. Jack będzie musiał jutro do nich zajrzeć.
- Odniosłam wrażenie, że wszyscy tutaj nazywają go Doc.
- Pomagałam go wychowywać - odparła Sal dumnie. - Trudno mi przywyknąć do myśli, że małe dziecko, któremu wycierałam nos, jest już dorosłym mężczyzną.
- Jack powiedział, że prawdopodobnie będziesz mi mogła pomóc. Próbuje kogoś odnaleźć.
- Z przyjemnością ci pomogę. Po tylu latach znam tu prawie wszystkich.
- Och, świetnie. Kobieta, której szukam, przeniosła się do Kalifornii prawie czterdzieści lat temu. Myślę, że mieszkała gdzieś tutaj, a w każdym razie bardzo blisko. Oczywiście mogła wyjść za mąż i zmienić nazwisko albo wyjechać do innego stanu. Krótko mówiąc, szukam Dolly Aames.

W ułamku sekundy przyjazna atmosfera ulotniła się. Roxanne odniosła wrażenie, że nagle od Sal odgrodziła ją przepaść szeroka jak Wielki Kanion.

Sal milczała przez chwilę.

- Nigdy o niej nie słyszałam. Niestety, nie mogę ci pomóc - powiedziała wreszcie. Kiwnęła sztywno głową i odmaszerowała przez dziedziniec. Roxanne patrzyła za nią przez zmrużone powieki. Wahanie Sal i jej poblądła nagle twarz mówiły same za siebie.

Teraz już nie miała wątpliwości, że Sal wie coś o Dolly Aames.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Schył głowę - powiedział Jack do Ginny, którą niósł na barana. Rozejrzał się po dziedzińcu, jednak wśród gości nie dostrzegł Roxanne. Znakomicie. Był trochę zły, kiedy nie chciała skorzystać z propozycji, żeby gdzieś w spokoju poczekać na Oza. Rozważał nawet, czy Carl nie mógłby odwieźć jej do motelu, ale niestety, dzisiaj nie poradziłby sobie bez Carla. Szkoda, bo chciał, żeby Roxanne Salyer jak najprędzej znikła mu z oczu.

Akurat... Wiedział, że się okłamuje. Na przykład teraz bardzo pragnął ją zobaczyć. Wmawiał sobie, że wyłącznie po to, aby sprawdzić, w jakim stanie jest jej poparzona skóra. Ciekawe, jak Roxanne wyglądała po kąpieli. Jeśli przeistoczyła się w typową producentkę telewizyjną z wielkiego miasta, nie będzie musiał specjalnie się wysilać, żeby o niej zapomnieć.

Przecież nie jest w moim typie, przypomniał sobie.

No, owszem, zwracał uwagę na wygląd kobiety. Wzrost, budowa ciała, karnacja - to też było ważne, ale przede wszystkim intrygował go blask bijący z wnętrza. Niektóre kobiety wydawały się wręcz rozświetlone jakimś trudnym do sprecyzowania czarem.

Roxanne ujęła go jeszcze czymś. Nie wyobrażał sobie,

żeby jego była żona, Nicole, zechciała tracić czas na szukanie starego przyjaciela rodziny. No, może gdyby widziała w tym jakąś korzyść... Dla niego rodzina była największą świętością. Być może cenił tak życie rodzinne, bo sam był ukochanym jedynakiem, wychowywanym przez cudownych, uwielbiających go rodziców. Jego najwcześniejsze wspomnienia pochodziły z okresu, gdy miał tyle lat, co Ginny. Pamiętał, jak wybierali się na pikniki w górach. Zatrzymywali się w różnych miejscach, skąd rozciągały się piękne widoki na bezkresną pustynię.

Te wspomnienia wciąż podtrzymywały go na duchu. Właśnie w trakcie jednej z tych wypraw koń matki poniósł i zrzucił ją na skały. Zmarła po kilku godzinach. Jack miał wówczas zaledwie osiem lat, ale do dziś czuł tamten odrętwiający ból i smutek.

W końcu jednak życie na ranchu zaczęło się toczyć po staremu. W dużej mierze była to zasługa Sal. Z początku pracowała u nich jako gospodyni, jednak po śmierci matki stała się kimś znacznie ważniejszym.

Ojciec Jacka po stracie żony poświęcił się bez reszty pracy. Kiedy Jack dorósł, postanowił iść w jego ślady. Przez kilka lat ramię w ramię leczyli wszystkich w okolicy, potem ojca powalił wylew. Jack kontynuował praktykę i wkrótce praca stała się jego pasją.

Miał jeszcze jeden ważny cel w życiu: być dobrym ojcem. Ginny potrzebowała ojca, tak jak on potrzebował córki, i tylko to się liczyło. Po małżeństwie z Nicole poważne związki z kobietami straciły dla Jacka znaczenie.

Z początku nie mógł zrozumieć, czemu ich małżeństwo

zakończyło się katastrofą. Nicole była miejscową dziewczyną, Jack znał ją od lat i sądził, że wie o niej wszystko. Wychowywali się w podobnych warunkach, chodzili do tej samej szkoły.

Teraz już wiedział, że Nicole szukała ucieczki od takiego życia i liczyła na to, że Jack jej w tym pomoże.

Jednak żadne z nich nie zdradziło się ze swoimi marzeniami, ani nie rozumiało potrzeb partnera. Jack założył, że Nicole uszanuje jego poświęcenie i miłość do zawodu. Nie dostrzegał jej niezadowolenia, wynajdywanie przez nią coraz to nowych zainteresowań przypisywał zmiennym nastrojom.

Zbyt późno dostrzegli, jak bardzo się różnią. Nicole zaszła w ciążę, a kiedy na świat przyszła Ginny, Jack przyrzekł sobie, że zrobi wszystko, by żona poczuła się szczęśliwa. Za wszelką cenę chciał uratować ich związek.

Kiedy Nicole zapragnęła rzeźbić, wybudował jej studio. Na jej prośbę pracownia stanęła daleko od domu. Podczas akcji zbierania funduszy na szpital miejski Nicole poznała awangardowego artystę, który malował portrety znanych osobistości ze świata kultury i polityki. Natychmiast zamarzyła, by sportretował również ją. Jack poruszył niebo i ziemię, żeby ściągnąć tego faceta. A potem wszystko potoczyło się jak w kiepskim melodramacie, szkoda słów.

Zdjął córkę z ramion i pocałował ją w główkę.

- Uważaj na swoją śliczną sukienkę - powiedział, stawiając ją na ziemi. Co za głupia uwaga! W nosie miał przecież, co się stanie z cholerną sukienką.

Ginny dostrzegła kogoś ze swoich przyjaciół i pomknęła w tamtym kierunku.

Drzwi po przeciwnej stronie patio otworzyły się i Jack

poczuł, jak serce mu zamiera. Roxanne? Nie, to Sal wychodzi z kuchni. Uśmiechnął się do niej, ale uciekła wzrokiem. Zaniepokoiła go ta dziwna reakcja, a także wyraz jej ściągniętej twarzy.

- Sal? - zagadnął, podchodząc do niej. - Sal, co się dzieje? - Była blada i drżąca. Chwycił jej przegub, by zbadać puls. Od zeszłego roku Sal miała kłopoty z sercem, niedawno nawet leżała w szpitalu. - Jak się czujesz?

- Świetnie - prychnęła, wyrywając rękę.

- Jednak...

- Przestań zgrywać ważnego doktora - zażądała z właściwą sobie stanowczością. Sal Collins była silna. Nie znosiła, gdy się nad nią roztkliwiano. Nim zamieszkała z jego rodziną, miała męża i dziecko. Straciła ich oboje, lecz nigdy o nich nie wspominała. Ani jednym słowem. Nie wiedziałby o tym do dziś, gdyby w zeszłym roku nie musiał zajrzeć do jej karty zdrowia. Jednak nie tylko Sal była uparta.

- Muszę sprawdzić tętno.

Z uśmiechem wyciągnęła rękę.

- No, to sprawdzaj. Naprawdę czuję się dobrze.

- Nie czujesz ucisku w klatce piersiowej? Kręci ci się w głowie?

- Nie. Daj mi już spokój.

- W porządku, ale będę miał na ciebie oko - odparł, całując ją w czoło.

Poklepała go po policzku i poszła usiąść na ławce. Była lubiana i wokół niej natychmiast zrobiło się tłoczno. Tylko dwie stare panny, ciotki Jacka, trzymały się na uboczu. Rozejrzał się wokół, szukając Ginny. Dostrzegł ją wraz z trojgiem innych dzieci przy stole z prezentami.

Ponownie skierował wzrok na Sal. Najwyraźniej wróciła do siebie. Widocznie to, co ją wytrąciło z równowagi, przestało już zaprzętać jej myśli. Goście wciąż napływali, krążył więc po patio, wdając się ze wszystkimi w krótkie pogawędki, lecz za każdym razem, gdy słyszał otwierające się drzwi, wstrzymywał oddech.

Rozmawiał właśnie z jedną ze swych pacjentek, gdy pojawiła się Roxanne. Nagle przestał słyszeć, co mówili jego goście.

Nicole uwielbiała zwracać na siebie uwagę. Pojawiała się w zwiewnych sukienkach, otoczona zapachem kwiatowych perfum, śmiejąc się głośno. Roxanne, wysoka i smukła, z opadającymi na ramiona włosami, wyglądała... po prostu zwyczajnie. Poruszała się lekko i z wdziękiem, co z pewnością było efektem dobrego zdrowia i regularnych ćwiczeń.

Widząc, że kieruje się w stronę ogrodu, gdzie nie było ludzi, zrozumiał, że musi się czuć niepewnie wśród tylu obcych. Pociągła twarz była zupełnie pozbawiona makijażu.

Nagle uświadomił sobie, że Roxanne jest ładniejsza od Nicole. A może raczej... bardziej naturalna. Tak czy inaczej, nie mógł oderwać od niej oczu.

Roxanne bawiła się kólkami paska, patrząc na zbliżającego się do niej Jacka. Przez chwilę, gdy ich oczy spotkały się, mogłaby przysiąc, że ucieszył się na jej widok. Trwało to jednak zaledwie ułamek sekundy, więc może było jedynie złudzeniem.

- Wspaniałe przyjęcie - powiedziała z uznaniem. Ginny i jej mali goście krążyli między dorosłymi, wśród



których kilkoro trzymało na rękach niemowlęta. Rozmowy i muzyka mieszały się z szumem wody w fontannie.

Roxanne czuła na sobie zaciekawione spojrzenia przyjaciół Jacka.

Szczególnie intensywnie przyglądała się jej ruda, ciężarna kobieta, z którą przed chwilą Jack rozmawiał.

Żałowała, że nie może ogłosić wszem i wobec: „Słuchajcie! Jestem tu, bo zepsuł mi się samochód!”

- Ta kobieta, która cię tak bacznie obserwuje, to Nancy Kaufman - wyjaśnił Jack.

- Bardzo ładna, a ciąża jej wyraźnie służy. Swoją drogą, mam wrażenie, że wszystkie obecne tutaj panie są albo ciężarne, albo świeżo po porodzie.

- Na pewno nie moje ciotki. To te dwie przy fontannie, które machają do ciebie chusteczkami.

Roxanne ukloniła się starszym paniom.

- Wiesz przecież, o co mi chodzi. - Nie dała się zbyć żartem. - Grace i Nancy są w ciąży, tam też siedzą trzy ciężarne, nawet twoja klacz jest żrebna. Pełno tu niemowląt, a także kociaków, szczeniaków. Zupełnie jakby wybuchła jakaś epidemia.

Uśmiechnął się, chyba po raz pierwszy, od kiedy się poznali, szczerze i promiennie.

- W Seattle ludzie nie mają dzieci? Nie mogła oderwać oczu od jego ust.

- Skądże. Na północy zrezygnowaliśmy z tych wszystkich spraw.

Napływa tylu gorąckrwistych południowców, że my, tubylcy, nie musimy już dbać o przyrost naturalny.

- Faktycznie, sporo słyszałem o waszych lokalnych ograniczeniach. Roześmiała się.

- Nancy jest ważną osobistością w naszej okolicy -zmienił temat. -  
Prowadzi stację radiową w Tangent.

- Dawno temu, jeszcze w latach studenckich, miałam staż w radiu. Aż mi się wierzyć nie chce, że możecie tutaj słuchać własnej stacji.

- To rzeczywiście dość zabawne, bo na przykład do szpitala trzeba jechać prawie czterdzieści kilometrów, za to jest stacja radiowa. Co prawda maleńka, ale jednak. Nancy bardzo chciałaby poznać producentkę z wielkiej sieci telewizyjnej.

- Będzie mi bardzo miło - odparła.

- Ślicznie wyglądasz. - Popatrzył na nią przeciągle.

- Dziękuję - odpowiedziała cicho.

Chciała odpowiedzieć komplementem, ale nie bardzo wiedziała, jak to zrobić. I tak prawdopodobnie zauważył, że gapi się na niego jak sroka w gnat. Zniknął gdzieś seksowny kowboj. Teraz stał przed nią wytworny lekarz, ubrany w szarą, miękką koszulę i o ton ciemniejsze spodnie. Czowała cudowny męski zapach - kombinację mydła i rozgrzanej pustynnym słońcem skóry. Ta mieszanka drażniła jej zmysły.

- Ginny jest piękną dziewczynką - odezwała się, patrząc na dziewczynkę w ślicznej, zwiewnej sukience.

- To wspaniały dzieciak. Już nie może się doczekać, kiedy pozwolę jej rozpakować prezenty.

Chętnie spędziłaby całe popołudnie, patrząc mu w oczy, ale nagle zdała sobie sprawę, że budzą powszechne zainteresowanie.

- Jack, wszyscy się na nas gapią - powiedziała cicho.

- Nic dziwnego, zżera ich ciekawość. Piękna nieznajo

ma, która rozmawia z prowincjonalnym doktorkiem. To musi ich interesować - mruknął, dotykając jej ręki.

Roxanne omal nie krzyknęła. Miała wrażenie, że jego dotyk parzy jak rozżarzony węgiel. Może to zresztą jej spalona słońcem skóra była zbyt wrażliwa.

- Chciałabym, żeby Oz się wreszcie odezwał - rzuciła nagle.

- Obawiam się, że to może trochę potrwać. - Szybko cofnął dłoń.

- To samo mówił Carl - mruknęła. - Sal wspomniała też o jakiejś Lisie i przeziębionych bliźniaczkach.

- Rozmawiałaś z Sal? Kiedy?

- Jakaś chwilę temu.

Ze zmarszczonym czołem rzucił okiem na starszą kobietę, po czym znów zwrócił spojrzenie na Roxanne. Zaczęła się obawiać, że jeszcze moment, a spłonie pod jego wzrokiem.

- Kto to jest Lisa? - zdołała wykrztusić.

- To żona Oza. Próbuje sama poradzić sobie z dziećmi, które niedawno urodziła. Czasami jednak puszcza jej nerwy. Wzywa wtedy Oza, przekazuje mu dzieci, a telefon rozbija w drzazgi.

Uśmiech zniknął mu z ust. Wziął Roxanne za rękę i pociągnął w cień, który rzucały otwarte drzwi do kuchni.

Przez chwilę miała wrażenie, że zamierza ją pocałować. Nie, to niemożliwe. Przecież nie zrobiłby tego na przyjęciu urodzinowym córki, na oczach wszystkich obecnych. Wiedziała jednak, że na pewno nie próbowałaby go powstrzymać.

Nigdy jeszcze żaden mężczyzna tak jej nie pociągał. Chociaż... nigdy też nie rozbiła auta ani nie zgubiła drogi

na pustyni, ani też nie ratował jej z opresji przystojny, tajemniczy lekarz. To musiało wytrącić ją z równowagi.

Jack pochylił głowę, jego ciepły oddech musnął jej policzek. Kiedy już niemal czuła jego usta na swoich, odezwał się nieoczekiwanie:

- Mówiłaś, że rozmawiałaś z Sal. Tego się nie spodziewała.

- No tak - wymamrotała. - Ma charakterek, co?

- Zastępowała mi matkę.

- Tak, wspominała, że wycierała ci nos.

- Zajęła się mną po śmierci mamy, a teraz pomaga mi w wychowaniu Ginny. Od kiedy pamiętam, jest członkiem naszej rodziny.

- Co właściwie próbujesz mi powiedzieć?

- Nie chciałbym, żeby ktoś ją skrzywdził.

- To zrozumiałe.

- Kiedy wyszła na patio, była bardzo poruszona. Przez moment obawiałem się nawet, że coś złego dzieje się z jej sercem. Teraz jednak jestem więcej niż pewien, że to ty ją zdenerwowałaś. - Spojrzał na nią ostro. - Chcę wiedzieć, co się wydarzyło. Co takiego jej powiedziałaś?

- Spytałam, czy zna Dolly Aames. Niecierpliwie machnął ręką.

- I co ona na to?

- Zbladła jak ściana i powiedziała, że pierwszy raz słyszy to nazwisko.

Nagle przestała traktować mnie przyjaźnie i wyraźnie zapragnęła znaleźć się jak najdalej. Jestem pewna, że kłamie i wie coś o Dolly Aames.

- Powiedziałyby, gdyby tak było. Dlaczego niby miałyby cię oszukiwać?

- Skąd mogę wiedzieć?  
- Nie zrobiłaby tego. Musiałaś źle ją zrozumieć.  
- Raczej nie - odburknęła.  
- Może zdenerwowałaś ją właśnie takim opryskliwym zachowaniem?  
- Sugerujesz, że jestem źle wychowana? Patrzył na nią zaskoczony.  
- Skądże, nie to miałem na myśli. Po prostu...  
- Nieprawda, Jack, właśnie to sugerowałeś. - Odwróciła się na pięcie. Była zbyt rozgniewana i zmieszana, żeby zostać tu choćby chwilę dłużej. Dzięki Bogu nie poszedł za nią. Popatrzyła na półmiski ze stosami jedzenia, ale nagle straciła apetyt. Wyszła przez bramę na podwórze zastawione teraz samochodami gości, minęła koral, skąd przyglądały się jej zaciekawione konie, i skierowała się do stodoły.  
^ Jak mógł oskarżać mnie o nękanie starej kobiety? - myślała rozgoryczona, przykładając dłoń do rozpalonego policzka. Dlaczego bez wahania założył, że jestem nieuprzejma i zbyt wścibska. Starsza pani z pewnością coś ukrywa, pomyślała. Tylko czy teraz odważę się dociekać, o co tu właściwie chodzi?  
Goldy trąciła ją w ramię, lecz tym razem Roxanne nie przestraszyła się. W kącie dostrzegła źrebię. Pogłaskała delikatnie miękkie jak aksamit chrapy klaczy.  
- Co mam teraz zrobić? - szepnęła.  
Wyjrzała na zewnątrz. Na szczęście nikt za nią nie szedł. Miała nadzieję, że Jack nie opuści przyjęcia córki. Chociaż... czy rzeczywiście nie chciałaby, żeby jej szukał?  
Oczywiście, że nie. Nigdy więcej nie chce go oglądać.

Idąc w głąb stodoły, układała plan działania. Kiedy goście zaczną się rozchodzić, poprosi kogoś o podwiezienie do Tangent. Musi tu więc poczekać do końca przyjęcia, co z pewnością potrwa jakiś czas.

Nagle stanęła jej przed oczami twarz Jacka, kiedy się nad nią pochylił. Jeszcze teraz czuła, jak jej wargi drżą w oczekiwaniu dotknięcia jego ust. No i Ginny, maleńka księżniczka, śliczny żółty motylek. Ciekawe, co też było w różowej paczce z wielką kokardą? Roxanne chętnie zobaczyłaby, jak mała jubilatka rozpakowuje prezenty.

Cóż, to obcy ludzie. Najpewniej nigdy więcej ich nie zobaczy. Zapragnęła nagle znaleźć się z powrotem w pracy. Szef chciał, żeby zrobiła cykl programów o miejscowych rekinach biznesu. Nie miała serca do tego projektu, ale ku jej zaskoczeniu kolejne odcinki plasowały się bardzo wysoko w rankingach oglądalności.

W drodze z Seattle na południe kraju przyszedł jej do głowy pomysł całkiem innego programu, ale Leon Mackey, dyrektor generalny, natychmiast bezlitośnie rozwiął jej marzenia.

- Zbyt siermiężny - rzucił w słuchawkę, gdy do niego zadzwoniła. - Zresztą, kogo to może zainteresować?

Czy rzeczywiście widzów nie interesują skromni, lokalni bohaterowie, którzy poświęcają życie, żeby świat stał się lepszy? Czy faktycznie nikogo nie obchodzą ludzie dobrej woli? Czy wszyscy są aż tak cyniczni? Nie chciała w to wierzyć. Po powrocie znajdzie jakiś sposób, żeby przeforsować swój pomysł. Pragnęła stworzyć program o zwykłych, choć zarazem wyjątkowych lu-

dziach, którzy żyli dla innych, którym nie było wszystko jedno. Poklepała Aggie po głowie, pogłaskała pulchne szczeniaczki i wdrapała się po belach siana na górę, w pobliże śpiącej kociej rodziny. Oparła głowę na rękach, próbując odpędzić męczące myśli o pewnym przystojnym lekarzu, który miał olśniewający uśmiech. Nie, na pewno nie będzie myśleć o Jacku Wheelerze! Koniec i kropka. Z niewiadomego powodu zadrżała nagle z zimna, choć powietrze wokół było nadal bardzo ciepłe. Myślała o kwiatkach, fontannie i kociętach. O lnianych kędziorkach Ginny i źrebaczku, któremu trzeba nadać imię. Może nazwą je Słoneczko? W stodole zapanowała cisza. Chaotyczne i dręczące myśli Roxanne też zmieniały się powoli w niczym niezmacony strumień fantazji.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Wymagało to sporo wysiłku, w końcu jednak zdołał oderwać myśli od dręczących go pytań. Goście oczywiście zauważyli jego rozmowę z Roxanne, a teraz zżerała ich ciekawość, kim jest ta wysoka blondynka. Czemu tak nagle opuściła patio?

Zmusił się, żeby spełniać obowiązki gospodarza. Zrobił dziesiątki zdjęć, przytulił wszystkie niemowlaki, które niedawno przyjmował na świat, przytrzymał Ginny, kiedy zdmuchiwała świece na urodzinowym torcie, uśmiechał się, gdy wycierała upaprane czekoladą rączki w odświętną sukienkę.

Nieustannie jednak odtwarzał w myślach rozmowę z Roxanne. Naprawdę nie uważał, że zachował się nagannie. Chciał tylko, żeby odpowiedziała mu na postawione pytanie. Musiał chronić swój dom przed intruzami. Jednak chyba nie tylko o to mu chodziło. Przede wszystkim próbował wzbudzić w sobie gniew, a także rozwścieczyć Roxanne do tego stopnia, żeby odeszła stąd na zawsze, by przestała drażnić jego zmysły.

Udało się. Co prawda zwycięstwo było mało chwalebne, ale przecież konieczne.

Przyjęcie wreszcie dobiegło końca. Sal uznała, że Ginny należy jak najszybciej wykapać. Grace chciała zająć się



dziewczynką, Jack jednak polecił jej położyć się natychmiast do łóżka. Razem z nią odesłał Carla.

W rezultacie Sal wykąpała Ginny, Carl zaopiekował się żoną, Jack natomiast zajął się sprzątaniem, choć w gruncie rzeczy wolałby od razu udać się na poszukiwanie Roxanne. Mimo że gniew mu nie przeszedł, bardzo się o nią martwił.

Sadie i Weronika, dwie stare ciotki Jacka, wspierane przez George'a, ich wiekowego szofera, próbowały wysondować Jacka i dowiedzieć się czegoś o nieznajomej blondynce. W końcu zrezygnowały, ucałowały bratanka w policzek i odjechały do domu.

Jedzenie zostało już schowane do lodówki, a naczynia poustawiane przy zlewie. Po drodze Jack zajrzał do pokoju Ginny. Oddychała równo przez sen, przykryta kołdrą, którą wiele lat temu uszyła jego matka. Pochylił się i ucałował swoją małą jubilatkę.

- Wszystkiego dobrego, kruszynko - szepnął.

Wreszcie w domu zapadła cisza. Czas odszukać Roxanne. Tylko gdzie? Na pewno nie była tak głupia, żeby znów ruszyć na pustynię, do przeszukania pozostały więc dom, stodoła i bungalow dla pracowników rancza. Roxanne nawet nie wiedziała o jego istnieniu, więc raczej mało prawdopodobne, że siedzi tam z kowbojami, popijając piwo i oglądając telewizję. Skoro nie było jej również w domu, pozostawało sprawdzić w stodole.

Przed wyjściem zabrał kluczyki do ciężarówki, butelkę z wodą i aspirynę. Księżyc oświetlał podwórze srebrzystym blaskiem. Za kilka dni będzie pełnia, pomyślał Jack, patrząc w niebo. Tym razem ten widok nie podziałał na niego uspo-

kajająco, a przenikliwe wycie kojota wzmogło tylko uczucie melancholii, które go ogarnęło.

W stodole panowały egipskie ciemności. Czyżby się pomylił, zakładając, że Roxanne właśnie tutaj poszuka schronienia? Przecież zauważył, że nie czuła się zbyt pewnie w towarzystwie zwierząt.

Goldy spojrzała na niego łagodnymi brązowymi oczami. Zagadał do niej cichym, uspokajającym głosem, po czym skierował się do sterty siana. Po chwili dostrzegł Roxanne śpiącą z głową wspartą na złożonych rękach. Podwinięta sukienka odsłaniała kremowe udo i fragment czarnych koronkowych majteczek na kształtnej pupie.

- O rety! - szepnął. W tym momencie poruszyła się i Jack zwalczył pokusę, żeby uciec ze stodoły. Z zapartym tchem patrzył, jak Roxanne się przeciąga, odwraca powoli głowę i patrzy na niego.

Mój Boże, ależ jest piękna. Zmierzwiłone włosy zsunęły się na zaróżowione policzki, oczy błyszczały żywo nawet w tym mdłym świetle. Żdźbła siana, które pokryły czarną sukienkę, wplątały się także we włosy, przyczepiły do skóry na twarzy, szyi i rękach. Ten nieład sprawiał, że Roxanne wyglądała bardzo niewinnie, choć kłóciło się to z pełnym magnetyzmu spojrzeniem tajemniczych, ciemnych oczu.

Uśmiechnął się, lecz nie zareagowała, odchrząknął więc i powiedział:

- Chciałem upewnić się, czy wszystko w porządku. -Zaczął wspinać się na górę, starając się patrzeć na jej twarz, a nie na nogi.

Kocięta zamiauczały żałośnie, przywołując matkę. Kotka

natychmiast pojawiła się na szczycie stogu, zeskoczyła do legowiska i po chwili znów nastała cisza. Roxanne westchnęła głęboko.

- Ich życie wydaje się takie łatwe - szepnęła, pochylając jasną głowę nad kocią rodziną.

Jack przyglądał się kotom w milczeniu.

- W każdym razie wyglądają, jakby im nic nie brakowało do szczęścia - odezwał się po chwili.

- Dlaczego nasze życie nie może być takie proste?

- Hm. - Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Spodziewał się pretensji i oskarżeń, a nie filozoficznych rozważań. - Moim zdaniem nasze życie też nie jest zbyt skomplikowane - powiedział w końcu.

- Ludzie muszą dokonywać wyborów.

- Koty również.

- Nie masz racji. Koty działają instynktownie. To instynkt im podpowiada, czy ułożyć się w słońcu, czy w cieniu, pójść w lewo, czy w prawo. Ludzie muszą decydować.

Wyglądała tak bezradnie, że z trudem opanował się, by jej nie przytulić. Jej słowa przywiodły mu na myśl Nicole, która jak kot kierowała się instynktem, a kiedy ostatecznie zdecydowała się na wybór, w konsekwencji skrzywdziła własne dziecko.

Roxanne przerwała jego smutne rozmyślania.

- Czy to woda? - spytała, koniuszkiem różowego języka oblizując wargi.

- We wszystkich ją wmuszam - wymamrotał, z trudem wydobywając głos z zaschniętego gardła.

- Nie zamierzam się bronić - odparła natychmiast, otwierając butelkę.

Całą siłą woli próbował nie wpatrywać się, jak pije. Cholera! Dlaczego nie zainteresował się żadną z miejscowych kobiet? Przecież wiele z nich dawało mu do zrozumienia, że uważają go za niezłą partię. Dlaczego nagle zapragnął tej nieznajomej, o której tak niewiele wiedział? Na miłość boską, trzydziestodziewięcioletni mężczyzna powinien umieć zapanować nad zmysłami!

- Jak się czujesz? - spytał szorstko.

- Znakomicie.

- Akurat.

- No dobrze. Masz rację, średnio. Zadowolony?

- Nieszczególnie.

- Która godzina? - Podniosła się. - Muszę znaleźć kogoś, kto mnie odwiezie do miasta. Wierzyć mi się nie chce, że zasnęłam.

- Zamierzałaś odjechać bez słowa?

- Przecież tobie jest to obojętne. Sądzę, że odetchnąłbyś z ulgą.

- Nie wówczas, gdybym nie wiedział, co się z tobą stało. Wszyscy się już rozjechali.

- No to pójde na piechotę.

Widział, że jest bliska płaczu. Niech to diabli, westchnął w duchu.

Panicznie bał się łez. Nieistotne, czy płakało dziecko, czy było to pijackie zawodzenie, łzy smutku, rozczarowania czy radości. Wziął się w garść i rzucił ostro:

- Nie możesz iść pieszo.

- Nic ci do tego - odparowała. - Mam dwadzieścia siedem lat. Znam już drogę. Noc spędzę w samochodzie.

Z trudem powstrzymał śmiech.

- Uważaj na kojoty i węże.

- Jakie kojoty... - zaczęła, ale jak na zamówienie z oddali dało się słyszeć przenikliwe wycie. W oczach Roxanne pojawił się strach.

- Odwiozę cię - zaproponował, lecz kiedy spojrzał na nią uważniej, nie był całkiem przekonany, czy to właściwa decyzja. - Jesteś chora.

- Skądże.

Wyciągnął rękę i dotknął jej czoła.

- Masz gorączkę.

- To słońce...

- No właśnie. Udar słoneczny. Nie męczą cię dreszcze i ból głowy?

Pewno masz też wrażenie, że skóra się skurczyła, zgadza się?

- Jesteś jasnowidzem?

- Zaledwie lekarzem. - Podał jej dwie aspiryny, które Roxanne posłusznie połknęła.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, wreszcie Roxanne je przerwała.

- Nie powinnam była tak niegrzecznie wychodzić podczas przyjęcia twojej córki. Po prostu bardzo mnie rozgniewałeś.

- Zdaję sobie sprawę, musisz jednak zrozumieć, ile Sal dla mnie znaczy. Chcę tylko, żebyś zostawiła ją w spokoju.

Pokiwała głową, odwracając spojrzenie.

- Znowu zaczynasz. Nie zamierzałam jej denerwować. Zadałam tylko jedno pytanie, to wszystko. Ona coś ukrywa.

Cholera, co za uparta baba! - pomyślał.

- Za godzinę będę w Tangent i przestanę zagrażać sekretowi Sal - dodała.

- Nie pojedziesz dziś do Tangent - odparł zdecydowa-

nie. - Wole, żebyś została tutaj, póki nie spadnie ci temperatura. Odwiozę cię do miasta jutro, gdy będę jechał do dzieci Oza. Od razu załatwisz z nim sprawę auta.

- Nie chcę sprawiać ci kłopotu - wyszeptała, uciekając spojrzeniem w bok.

Wziął ją pod brodę i łagodnie uniósł jej głowę. Jej oczy przypominały dwa głębokie jeziora. Niech go diabli, jeśli nie zobaczył zaproszenia czającego się na ich dnie. Zwalczył pragnienie, by ją pocałować, osiąść, ukoić to palące pożądanie.

- Nie sprawiasz żadnego kłopotu - odpowiedział. Sam był zaskoczony, jak szczerze i naturalnie zabrzmiał jego głos. - Chodź, wracamy do domu. Na pewno umierasz z głodu. Zjesz coś, weźmiesz chłodną kąpiel i położysz się spać. Nie sądzisz, że to całkiem rozsądna propozycja? Popatrzyła na niego uważnie, po czym kiwnęła głową.

- Świetnie. No, to chodź.

Pomógł jej zejść ze stogu, ale gdy tylko stanęła na podłodze, cofnął rękę. Nie miał do siebie zaufania. Bał się, że ulegnie pokusie i temu wyzwaniu, które dostrzegał w jej spojrzeniu.

Kątem oka widział, że Goldy przygląda mu się z boku. Czemu odnosił wrażenie, że klacz uśmiecha się pobłaźliwie?

Roxanne z westchnieniem ulgi zanurzyła się w chłodnej wodzie. Jack dał jej olejek do kąpieli i chociaż jej ciałem wstrząsały dreszcze, czuła się bosko. Żołądek się uspokoił, kiedy zjadła kilka kanapek, teraz więc wreszcie mogła się naprawdę odprężyć.

Przymknęła oczy, próbując sobie wyobrazić coś kojącego-

go. Wody zatoki Puget w pogodny dzień, głębokie i niebieskie jak... jak oczy Jacka.

Nie, lepiej chyba pomyśleć o drzewach. O pięknych świerkach i sosnach, wysokich i silnych, jak... Jack.

Nie, to wszystko na nic. Mimo wyczerpania była niespokojna i podniecona. A przyczyną jej stanu był Jack.

Był tak ujmująco uprzejmy. Teraz moczyła się w jego wannie, zaraz skorzysta z jego łóżka, Jack uznał bowiem, że powinna spać w pokoju z klimatyzacją, odstąpił jej więc swoją sypialnię.

Cóż z tego, skoro ona chciała znacznie więcej.

No tak, tłumaczyła sobie, wycierając delikatnie spaloną słońcem skórę. Przede wszystkim powinnam skoncentrować się na odnalezieniu Dolly Aames. Ktoś musi coś o niej wiedzieć. Jack to po prostu przeszkoda na drodze do osiągnięcia celu, a przeszkody należy omijać, zwłaszcza takie ponętne. Musiała skupić się na tym, by odnaleźć Dolly, była to winna babci Neli.

Rok temu u babci wykryto raka piersi. Wynik intensywnej terapii nie był jeszcze znany, a w dodatku babcię zaczął męczyć nieustanny kaszel. W najbliższą środę miała zgłosić się do szpitala na prześwietlenie płuc.

Roxanne przed wyjazdem wynajęła do pomocy Lindę Wills, emerytkę z sąsiedztwa, jednak pragnęła jak najszybciej wrócić do domu i sama wszystkiego dopilnować.

- Jutro do niej zadzwonię - powiedziała głośno i poczuła się trochę lepiej. Może do tego czasu zdoła porozmawiać z Sal.

Wciągnęła przez głowę cienką bawełnianą koszulkę i rozejrzała się po pokoju. Na wysokiej komodzie stały zdjęcia:

duży portret Ginny i fotografia przedstawiająca Jacka z Ginny na Milo. No i oczywiście Sal dosiadająca Sprite. Maść klaczy była równie biała, jak włosy kobiety. Roxanne uśmiechnęła się.

Wiedziała, że w tym pokoju nie da rady odpocząć. Zbyt wyraźnie czuła tu obecność Jacka. Zarzuciła na koszulkę szlafrok, który wisiał na krześle, i po cichu, żeby nikogo nie obudzić, wyszła z sypialni.

Drzwi naprzeciwko były szeroko otwarte. Nawet nie próbowała powstrzymać wrodzonej ciekawości. Białe mebelki, różowe falbanki, stosy pluszowych zwierzaków, półki pełne książeczek. Królestwo Ginny. Stojąc w ciemnym korytarzu, wpatrywała się w śpiącą na pleckach dziewczynkę. Słuchała jej równego, spokojnego oddechu. Ze wzruszeniem pomyślała o tym, jakim wielkim skarbem jest takie dziecko. Westchnęła, w jej oczach zakręciły się łzy.

Na palcach poszła dalej. Bez kłopotu znalazła kuchnię. Ledwie weszła do środka, poczuła skurcz pustego żołądka. Popatrzyła z namysłem na stosy naczyń, które stały przy zlewie.

Jej dług wobec Jacka Wheelera urósł do sporych rozmiarów. Zatrzymała się w jego domu, jadła na jego koszt, łykała jego aspirynę, on też miał odwieźć ją do miasta. Nie tylko stała się od niego zależna, ale również nie miała szans, żeby się odwdzińczyć.

Była przekonana, że nie przyjąłby pieniędzy, ale przynajmniej mogła pozmywać. Chociaż trochę wyrównałaby rachunki. Zawinęła rękawy, pod zlewem znalazła gumowe rękawice, którymi osłoniła spaloną skórę rąk, i zabrała się do roboty.



Starła się zachowywać jak najciszej, dlatego też mycie, wycieranie i odstawianie na miejsce dziesiątków talerzy, półmisek, miseczek, szklanek oraz sztućców zajęło jej ponad trzy godziny. W końcu otworzyła lodówkę i po chwili wahania wybrała miseczkę wypełnioną smaczną sałatką z melona.

Uzbrojona w widelec przeszła do salonu. Ten pokój także był utrzymany w bardzo męskim stylu. Zastanawiające, czy to Jack usunął z domu wszystkie ślady po byłej żonie, czy może ta kobieta snuła się tu jak duch i nawet mieszkając z rodziną, nie zaznaczyła swojej obecności.

Roxanne stanęła przy akwarium, w którym pływały dwie duże szare ryby i kilkanaścioro małych rybich dzieci. Znowu niemowlęta, pomyślała. Z początku zamierzała zdjąć z półki książkę ulubionego autora i zagłębić się w fotelu pokrytym brązową skórą, w końcu postanowiła wrócić jednak do sypialni. Mijając zamknięte drzwi pokoi, zastanawiała się, gdzie śpi dzisiaj Jack.

Układając się w łóżku, uznała, że zmywanie naczyń, to jednak za mało jak na spłatę długu. Będzie musiała wymyślić coś innego.

Następnego ranka Roxanne przebudziła się z uczuciem niepokoju. Raptownie usiadła na łóżku i spojrzała na zegar. Dochodziła dopiero szósta, ale zawsze była rannym ptaszkiem. W Seattle włożyłaby buty do joggingu, przebiegłaby kilka kilometrów, wzięłaby prysznic i przygotowała się do pracy. Tu jednak była skazana na czarną sukienkę i sandały. Nici z joggingu.

Rozczesała włosy, korzystając z grzebienia Jacka i ponownie włożyła jego szlafrok. W pokoju naprzeciwko Ginny nadal słodko spała.

Wyglądało na to, że Roxanne wreszcie zaczęło sprzyjać szczęście, bowiem w kuchni zastała Sal. W dżinsowej bluzie z wysoko postawionym kołnierzem i okularach na nosie siedziała na stołku z kubkiem kawy i otwartą książką. Kiedy oderwała wzrok od lektury, przyjazny uśmiech zniknął z jej twarzy.

Roxanne wskazała kubek.

- Czy też mogę się napić? - zapytała.

Sal podniosła się ze stołka i w milczeniu zajęła się przygotowaniem kawy. Roxanne sprawdziła autora książki i spróbowała zagaic rozmowę.

- Też go lubię.

Sal postawiła przed nią kubek i zamknęła książkę.

- A ja nie.

Masz tobie! Zdaje się, że czeka ją ciężka przeprawa. Upiła łyk kawy.

- Pyszna - pochwaliła. Sal nawet nie drgnęła.

- Mam wrażenie, że Seattle jest w jakiejś części odpowiedzialne za upowszechnienie się zwyczaju picia porannej kawy.

Cisza.

- Gdyby to od nas zależało, nakazalibyśmy wszystkim obowiązkowe delektowanie się pyszną kawą z ekspresu.

Sal zacisnęła dłonie na oparciu i rzuciła:

- Co ty tu robisz? Oho, zaczyna się!

- Już ci mówiłam. Szukam Dolly Aames, dawnej przyjaciółki mojej babci.
- Znalazłaś jakiś ślad?
- Na razie tylko ciebie. Ciągłe próbuję zrozumieć, dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać. Może zaskoczyło cię jej nazwisko? Dolly była mniej więcej twojego wzrostu, może odrobinę wyższa, oczy miała niebieskie, tak jak ty, na szyi po prawej stronie pieprzyk, długie rudawe włosy. Sal pokręciła głową z powątpiewaniem.
- Chciałabym ją znaleźć, żeby sprawić przyjemność babci - dokończyła Roxanne.
- Nie rozumiem.
- Były przyjaciółkami.
- Przyjaciółkami...
- Właśnie.
- Czy twoja babcia ma się dobrze?
- W zeszłym roku była bardzo poważnie chora - odparła.
- A teraz czuje się lepiej i chce odnaleźć tę przyjaciółkę?
- Tak, bardzo jej na tym zależy - wykrztusiła z trudem. Gdyby tylko wiedziała, czy babcia rzeczywiście czuje się lepiej.
- Cóż, przykro mi, ale nie mogę ci pomóc.
- Ale... - zaczęła i umilkła. Nie potrafiła ukryć rozczarowania.
- A w ogóle pytałam o co innego. Chciałam wiedzieć, dlaczego nadal jesteś w tym domu? Wydawało mi się, że wyszłaś w trakcie przyjęcia.
- Jack uznał, że powinnam zostać na noc.
- I gdzie spałaś?

- W jego pokoju.
  - Co takiego?
  - To nie tak, jak myślisz. Nie zrozumiałaś...
  - To ty chyba czegoś nie rozumiesz! Jak śmiesz snuć się po domu w szlafroku Jacka?!
  - O co ci, do diabła, chodzi?
  - Dobrze wiesz, o co!
  - Naprawdę sądzisz, że poszłabym z Jackiem do łóżka, wiedząc, że Ginny śpi w pokoju naprzeciwko?
  - Dzień dobry paniom. - Od drzwi doleciał męski głos. Odwróciły głowy jak na komendę.
- Po rozbawionym spojrzeniu Jacka poznały, że słyszał tę wymianę zdań. Roxanne miała ochotę zapaść się pod ziemię.
- Wstydziłabyś się mówić takie rzeczy - powiedział, klepiąc Sal po ramieniu.
- Wyglądał niezwykle seksownie w starych kowbojskich butach i dzinsach, które ciasno opinały jego długie nogi. Roxanne bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, jak wskakuje na konia i z lekarską torbą w ręku odjeżdża w stronę zachodzącego słońca.
- Sal, nie powinnaś była zmywać tego całego bałaganu - powiedział Jack, podchodząc do ekspresu z kawą.
  - To nie ja - zaprotestowała. - Myślałam, że to ty.
  - Nie. Pewno Grace.
  - Ja pozmywałam naczynia - odezwała się Roxanne.
  - Ty? - wykrzyknęli zgodnym chórem. Zdziwienie w ich głosach zdenerwowało Roxanne.
  - To, że nie mieszkam na ranczu, nie oznacza, że nie potrafię wyszorować garnka - mruknęła.
- Jack zaśmiał się, lecz Sal nie wyglądała na rozbawioną.

- Musiałaś chyba wstać o świcie?

- Nie mogłam zasnąć - odrzekła. Miała nadzieję, że z jej twarzy nie da się wyczytać przyczyny bezsenności.

- Cóż... dziękuję. - Odwrócił się do Sal. - Roxanne doznała udaru słonecznego, dlatego postanowiłem zatrzymać ją na noc. Ulokowałem ją w pokoju z klimatyzacją, a sam położyłem się w gabinecie. Zadowolona? W odpowiedzi Sal wychyliła się zza stołu i rzuciła okiem na gołe nogi Roxanne.

- Teraz wygląda już całkiem zdrowo.

- Zgadza się. - Trzymając kubek w obu dłoniach, przez kilka sekund patrzył Roxanne prosto w oczy, potem przeniósł wzrok niżej. Z trudem powstrzymała się przed sprawdzeniem, czy szlafrok nie rozchylił się za bardzo.

- Czuję się całkiem dobrze - potwierdziła.

- I pewnie chciałabyś jak najszybciej dostać się do swojego auta. Poszłaby o zakład, że pragnął wyprawić ją z domu, by nie mogła już wypytywać Sal, którą traktował z wyraźną estymą. Roxanne właściwie miała wielką ochotę wprosić się na dłużej, ale pomijając już fakt, że byłoby to potwornie niegrzeczne, z miny Sal wnioskowała, iż także zupełnie bezcelowe.

Tak czy inaczej, nie zamierzała rezygnować. Nie na próżno pracowała w redakcji wiadomości. Węszyła jakąś tajemnicę i choć starała się nie wtykać nosa w cudze sprawy, tym razem musiała to zrobić. Dla babci Neli. Musiała dać jej nadzieję, coś, na co warto czekać.

- Rzeczywiście - odpowiedziała na pytanie Jacka.

- Teraz muszę zająć się końmi, ale zaraz potem zawiozę

cię do miasta. Sal, zechcesz mi pomóc? - Wyszedł z kuchni, a Sal bezzwłocznie ruszyła za nim.

Roxanne zabębniła palcami w stół.

- Nie ciesz się za wcześnie - mruknęła pod nosem, patrząc, jak Sal zamyka za sobą drzwi. - Jeszcze sobie pogadamy.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Ranek upływał zadziwiająco szybko. Najpierw pojawiła się Grace, dręczona wyrzutami sumienia, że zostawiła wczoraj bałagan w kuchni. Stała jak wryta, gdy spostrzegła, że stos brudnych naczyń znikł. Chwilę później nadszedł Carl, który oznajmił, że zamierza skorzystać z niedzieli i zabrać żonę na piknik. Grace co prawda nie wyglądała na zachwyconą, ale nie chcąc robić mu przykrości, z entuzjazmem wyraziła zgodę.

Roxanne przyglądała się im z prawdziwym wzruszeniem. Czy kiedykolwiek знаła tak zgodne i troszczące się o siebie nawzajem małżeństwo? Stosunki między jej rodzicami nigdy nie były czułe i bezinteresowne, oboje zawsze dbali wyłącznie o własne sprawy. Właściwie wszystkie jej związki od czasów studiów wyglądały podobnie. Czyż nie to zarzucał jej Kevin?

Niedługo po Carlu do kuchni wkroczyła Ginny, gwałtownie domagając się jedzenia. Grace i Carl siedzieli właśnie przy kawie, więc to Roxanne podała dziewczynce płatki kukurydziane z mlekiem. Po śniadaniu Carl zajął się przygotowaniem prowiantu na piknik, Grace odpoczywała z nogami ułożonymi na krześle, a Roxanne pomagała Ginny w ubieraniu się.

- Lubię różowy kolor - oznajmiła dziewczynka.  
- Coś takiego - zaśmiała się Roxanne. W otwartej szufladzie leżały stosy różowych ubranek: szortów, dżinsów, skarpetek, majteczek i koszulek. Po toalecie Ginny zapragnęła odwiedzić wszystkie zwierzęta. Zaniósł więc marchewki dla koni, psie ciasteczka dla Aggie, kostki serowe dla kociej mamy i jabłka dla krów, które, jak się okazało, stały w małej obórce.

Jack kręcił się po podwórzu, za nim chodził źrebak. Gol-dy również trzymała się w pobliżu. Roxanne z uśmiechem obserwowała tę zabawną grupę, słuchając, jak Jack przemawia do zwierząt spokojnym, łagodnym głosem.

Kiedy Jack i Sal zaczęli poić konie, Ginny pobiegła im pomóc. Po chwili już uciekała ze śmiechem, gdy Jack ochlapał jej buzię wodą z węża, ale zaraz wróciła z psią miską, z której wylała wodę prosto na buty ojca. Jack chwycił córeczkę i zawiesił ją sobie na ramieniu głową w dół. Mała pękała ze śmiechu i nie mogła wykrztusić ani słowa.

Ich zabawa była taka naturalna.

Jack przepadł na kilka minut w domu, a kiedy wrócił, Roxanne aż oniemiała. Zmienił tylko buty i kapelusz, lecz w ten prosty sposób przeobraził się w poważnego lekarza.

Sal zajęła się Ginny, która głośno zaprotestowała, widząc, że ojciec wyprowadza z garażu samochód.

- Ja też chcę z tobą jechać - marudziła, gdy Jack dawał jej buziaka na pożegnanie.

- Innym razem, kochanie.

- Ale, tatusiu...

- Przywiozę ci niespodziankę - obiecał. Odjeżdżali żegnani radosnym śmiechem Ginny i kwaśną



miną Sal, która chyba miała ochotę obsztorcować Jacka za przekupywanie dziecka.

Roxanne wciąż odczuwała skutki udaru. Marzyła, żeby wreszcie pozbyć się czarnej sukienki Grace, bo materiał boleśnie obcierał spaloną skórę. Bardziej jednak niż te dolegliwości zajmował ją zatopiony we własnych myślach mężczyzna, który siedział obok.

Ledwo przypomniawszy sobie Ginny, natychmiast przyszła refleksja, że córka i ojciec mają identyczne oczy. Kiedy wspomniawszy Grace i Carla, zaczęła ją dręczyć ciekawość, jak układało się pożycie małżeńskie Jacka. Nawet myśl o zwierzętach przypominała jej, jak delikatnie się z nimi obchodził.

W drodze do Tangent zabrali walizki z bagażnika jej auta.

- Jack, czy mogę spytać cię o coś, co właściwie nie powinno mnie obchodzić? - zapytała w pewnej chwili.

- To chyba twoja specjalność - zakpił.

Skrzywiła się na tę niespodziewanie sarkastyczną uwagę. Jack spojrzał na nią i uśmiech znikł z jego twarzy.

- Zdaje się, że moje poczucie humoru niezbyt ci odpowiada?

Przepraszam. Oczywiście, pytaj.

- Co było w różowym pudełku?

- Jakim pudełku?

- No, tym z różową kokardą, które wczoraj miałeś w ciężarówce.

- Chodzi ci o prezent dla Ginny? No tak, wysłaś przecież przed rozpakowywaniem prezentów.

Uśmiechnął się lekko. Co go wprawiło w ten znakomity humor? Może świadomość, że za chwilę się jej pozbędzie?

- Mała kasetka na biżuterię z pozytywką i baletnicą, która się kręci po podniesieniu wieczka. Miesiąc temu Ginny wypatrzyła ją w sklepie.

- Jako dziecko też miałam takie pudełeczko - przypomniała sobie Roxanne. - Nawet pamiętam melodię, którą grała pozytywka.

- Również dostałaś je od taty?

- Nie pamiętam, ale wątpię. Ojciec nie miał czasu na takie drobiazgi, zbyt go pochłaniało robienie pieniędzy. Zresztą to nadal jego główne zajęcie, chociaż wkrótce powinien przejść na emeryturę. Mieszkają z mamą w Seattle, ale ostatnio kupili też dom w Nowym Jorku. Ojciec będzie miał blisko na Wall Street i do klubów jazzowych, a mama do teatrów i eleganckich restauracji. Mama poza tym uwielbia podróżować. Oboje są wysportowani, opaleni i wyglądają jak z reklamy produktów witaminowych dla ludzi w średnim wieku.

- Bardzo często ludzie, którym ubywa obowiązków rodzinnych, skupiają się na własnej osobie - powiedział Jack, skręcając na szosę prowadzącą do miasta.

- Moi rodzice zawsze byli tacy - odparła. - Mama, kiedy nie podróżuje, poświęca się bez reszty pracy, tak samo ojciec. Oboje lubią i zawsze lubili pieniądze.

- Masz rodzeństwo?

- Nie, tylko babcię Neli. - Poczula ukłucie w sercu, gdyż nagle przyszło jej do głowy, że kiedyś zabraknie przy niej tej życzliwej, kochającej prawdziwie macierzyńskim uczuciem kobiety. Jak sobie wtedy poradzi? Jaki zimny i pusty będzie świat bez babci Neli.

A co, jeśli prześwietlenie wykaże jakieś zmiany w płu-

cach? Znaczyłyby to, że nastąpił nawrót choroby. I dla babci, i dla niej będzie to straszliwy cios. Dlatego za wszelką cenę musi doprowadzić do odtworzenia zespołu Słoneczniki !

- Ja również nie - odezwał się Jack.

Zatopiona we własnych myślach przez chwilę nie miała pojęcia, o czym Jack mówi.

- Ojciec opowiadał, że chcieli mieć więcej dzieci, ale mama wolała trochę z tym poczekać, no a potem umarła.

- Przykro mi - szepnęła Roxanne. - Jak to się stało?

- Jej koń przestraszył się węża i poniósł, potem potknął się i zrzucił mamę na ziemię. Uderzyła głową o skałę. To się wydarzyło na tamtym wzgórzu.

- Jack wskazał strome zbocze w oddali i mówił dalej: - Ojciec pocieszał się myślą, że przynajmniej zmarła, robiąc to, co uwielbiała, ale chyba do końca dręczyły go wyrzuty sumienia.

- Pewno bardzo ją kochał.

- O, tak. Po śmierci mamy zajęła się mną Sal. Właściwie była u nas od zawsze, ale jako gospodyni. Nie wiem, jak bez niej przetrwałbym ten trudny okres.

- Oboje zawdzięczamy wiele kobietom, które zastępowały nam matkę.

- Zgadza się. - Spojrzał na nią z ukosa i dodał: - Nie gniewaj się, że to mówię, ale twoja matka wydaje mi się podobna do mojej żony. Ona również nie chciała mieć dzieci. Tylko czemu takie kobiety w ogóle decydują się na potomstwo?

- Nie mam pojęcia - odparła.

- Opowiedz mi o swojej babci. Mówiłaś chyba, że kiedyś była piosenkarką.

- Tak. Występowały z Dolly w zespole. Babcia była od niej starsza o osiem lat. Może to właśnie sprawiło, że świetnie się dogadywały?

Podobno Dolly miała bzika na punkcie chłopców, ale śpiewała jak anioł.

- Twoja babcia pewno zastępowała jej starszą siostrę.

- Mniej więcej. Babcia urodziła już wtedy moją mamę, więc pozostałym,

młodszy od niej koleżankom z zespołu wydawała się poważną matroną. Po nagłym odejściu Dolly zespół właściwie się rozpadł, jednak panie nadal utrzymują ze sobą kontakt. Wszystkie oprócz Dolly.

- Twoja babcia musi być bardzo miłą osobą.

- Jest wspaniała! - Nagle zapragnęła zwierzyć się ze swoich trosk. - W zeszłym roku okazało się, że ma raka piersi. Teraz jest remisja, ale ostatnie wyniki nie wyglądają zbyt dobrze i jeszcze pojawił się kaszel. W środę mają robić prześwietlenie.

- Czekanie jest okropne - powiedział, patrząc na nią ze współczuciem.

- Nie rozumiem, jak matka i córka mogą być tak różne... Mam na myśli moją babcię i matkę.

- To się często zdarza.

- Tak uważasz?

Rzucił jej zakłopotane spojrzenie i wzruszył ramionami, jakby nie był pewien, czy rzeczywiście wierzy w to, co mówi.

- A co powiesz o sobie? - spytał nieoczekiwanie Jack.

- O co ci chodzi?

- Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą. Masz kogoś na stałe?

- Już nie - mruknęła.

- Ale był ktoś? Czyli zdecydowałaś, że to nie ten.

- Nie rozumiem - odparła niechętnie.

- Nie ten, z którym chciałabyś założyć rodzinę.  
- Dlaczego przypuszczasz, że pragnę założyć rodzinę? Mam świetną pracę, którą w dodatku lubię. Na razie nie zajmuję kierowniczego stanowiska, ale to tylko kwestia czasu. Kobiety nie potrzebują już męża i dziecka, żeby się realizować.

- Sądziłem...

- Myślisz stereotypami - przerwała opryskliwie. - Przecież w gruncie rzeczy nic o mnie nie wiesz. - Z przerażeniem stwierdziła, że do jej głosu wdarła się nuta rozgoryczenia.

- To prawda. Myślę, że wysnułem takie wnioski, obserwując cię, gdy karmiłyście z Ginny zwierzęta.

Roxanne zawstydzila się swojego wybuchu. Co się z nią dzieje? Przez dwadzieścia siedem lat potrafiła kontrolować swoje emocje w każdej sytuacji, a od wczoraj zachowuje się jak histeryczka, która nie dość, że nie może spać, to jeszcze nie panuje nad zmiennymi nastrojami.

To z pewnością dlatego, że była chora z niepokoju o babcię. I bała się o siebie.

- Tam jest radiostacja Nancy Kaufman. - W wąskiej, zakurzonej uliczce, którą mijali, Jack wskazał mały, wyglądający jak lepianka budynek. W cieniu wielkiego drzewa, które rosło przed domkiem, stały dwa samochody. - Oz i Lisa mieszkają na drugim krańcu miasta - wyjaśnił po chwili.

Kiedy minęli motel, Jack wskazał niski budynek po prawej stronie.

- To restauracja „Coffee Corner”, którą prowadzi Liz. Była wczoraj na przyjęciu. Taka ruda, ciężarna dziewczyna, siedziała pod parasolem, pamiętasz? Jej mąż, Bart, jest kierownikiem poczty. Wczoraj towarzyszył żonie na przyjęciu.

- Zapominasz, że nie zdążyłam wczoraj nikogo poznać, bo wyszłam zaraz po tym, jak mnie oskarżyłeś o brak dobrego wychowania i nękanie Sal.

- Za to ciebie wszyscy zauważyli.

- Nie dziwię się.

- Tu jest mój gabinet - powiedział, gdy przejeżdżali obok narożnego domu z cegły. - Nicole mówiła, że to mój . dom z dala od domu.

- Czemu nie zamieszkas w miasteczku?

- Ranczo od dawna należy do rodziny i któregoś dnia chciałbym przekazać je Ginny. A poza tym lubię tam mieszkać, choćby ze względu na spokój.

Roxanne rozejrzała się wokół. W polu widzenia dało się zauważyć dokładnie osiem samochodów, dwunastu pieszych i jeden sygnalizator świetlny.

- No tak, rozumiem, co masz na myśli. Pewnie miło jest odpocząć po tym wielkomijskim piekle.

Jack roześmiał się głośno. Dziwne, ale Roxanne miała wrażenie, że zaczyna jej się udzielać dobry humor Jacka, a jej zdenerwowanie i smutek rozwiewają się jak poranna mgła. Coś takiego...

Po chwili zatrzymali się przed dużym pawilonem. Zakurzona i trochę przekrzywiona tablica informowała, że wielka podnoszona brama prowadzi do warsztatu Oza.

- Dom jest na tyłach warsztatu - wyjaśnił Jack, sięgając po torbę lekarską, która stała na tylnym siedzeniu.

Chyba całkiem niedawno ktoś próbował ożywić podwórze, sadząc czerwone pelargonie w kilku wypełnionych ziemią oponach. Gdyby rośliny przeżyły, dekoracja wyglądałaby nawet sympatycznie.

Najwyraźniej jednak zamysł się

nie powiódł i w tej chwili z rzędu opon sterczały głównie uschnięte badyle.

- Chyba zapomnieli o podlewaniu - powiedział Jack, idąc w ślad za jej wzrokiem. - Ostatnio co innego zaprzęta ich uwagę. Lisa? Oz? - zawołał po sekundzie, pukając we framugę. - To ja, Jack Wheeler. - Nie czekając na odpowiedź, otworzył szerzej drzwi i przepuścił Roxanne przodem. Znaleźli się w małym pokoju pełnym dziecięcych rzeczy. Próbując ominąć sterty ubranek, paczek z pieluchami i dwa identyczne foteliki, Roxanne weszła na grzechotkę, ale i tak nikt nie zwrócił na to uwagi. Płacz niemowląt zdawał się wypełniać szczelnie całą przestrzeń domu.

- Lisa? - zawołał Jack ponownie.

Płacz zmienił odrobinę natężenie i dało się słyszeć wysoki kobiecy głos: - Och, Doc, jak się cieszę, że przyjechałeś.

Otworzyły się jeszcze jedne drzwi i stanął w nich zaspany młody mężczyzna o włosach w kolorze piasku. Miał błękitne oczy, ubrany był jedynie w brązowe szorty. Roxanne uśmiechnęła się niepewnie.

Mężczyzna ziewnął rozdzierająco i podrapał się dość niezdarnie po głowie.

- Która godzina? - spytał głośno, próbując przekrzyczeć panujący w domu harmider.

Roxanne wzruszyła ramionami i rozejrzała się bezradnie, szukając zegara, ale mężczyzna ruszył już w stronę kuchni. Mijając Roxanne, przystanął na chwilę, przedstawił się jako Oz, potrząsnął jej dłonią i poszedł dalej. Krzyki dzieci tymczasem przeszły w jednostajny ryk.

Roxanne czuła się tu jak piąte koło u wozu. Przez chwilę stała niezdecydowana, wreszcie z westchnieniem skierowała się do kuchni. Skoro wszyscy tam byli, ona też mogła do nich dołączyć.

Kiedy stanęła w progu, Jack trzymał w ramionach niemowlęta, których krzyki powoli milkły. Bliźniaczki, okrągłe i różowiutkie, wyglądały jak pączki w maśle. Co prawda ciekło im z nosków i od czasu do czasu pokasływały, ale zdaniem Roxanne nie sprawiały wrażenia chorych.

Lisa, ich matka, była chuda jak szczapa - sama skóra i kości. Dżinsy prawie z niej spadały, a ręce z pewnością były zbyt słabe, aby nosić dwoje dzieci. Oz natomiast wyglądał jak ktoś kompletnie zagubiony.

Jack ponad główkami dzieci, które tłustymi paluszkami ciągnęły go za uszy i szczypały w nos, patrzył ponuro na Lisę.

- Zażywasz żelazo? - spytał. - Musisz nadal brać te witaminy, które ci zapisałem przed porodem.

- Ciągle jej to powtarzam - wtrącił Oz.

- Czy ty w ogóle coś jesz? - ciągnął Jack.

- Nie mam czasu na zakupy, co dopiero mówić o gotowaniu i jedzeniu - odparła Lisa załamującym się głosem.

Jack podał jedno z dzieci najbliższej stojącej osobie, którą akurat była Roxanne. Zaskoczona wzięła niemowlę, którego niebieskie oczki nadal wypełnione były łzami. Gdy zakwiliło, zaczęła je kołysać, żeby nie dopuścić do nowego ataku płaczu.

Wolną ręką Jack otworzył lodówkę. Jej zawartość zaskoczyła nawet Roxanne, która nie cierpiała gotowania i rzadko robiła duże zakupy. Lisa mogłaby się co najwyżej



napić zimnego piwa, zjeść parę łyżek keczupu lub coś, co po bliższych oględzinach okazało się zwiędniętą i nieco spleśniałą włoszczyzną. Jack spojrzał na Oza.

- Zabierz Lisę na obiad. Poproś Liz, żeby przygotowała jej befsztyk.

- Nie zjem...

Spojrzał na nią groźnie, marszcząc czoło.

- Zjesz. Potrzebne ci białko i żelazo. Aha, zamówcie jeszcze szpinak i koktajl mleczny. Potem zrobicie zakupy. Nie waście się wracać bez zapasów jedzenia. No, ruszajcie się, na co czekacie?

- Ale dzieci...

- Roxanne i ja zajmiemy się nimi. Przy okazji je zbadam. Chociaż teraz bardziej mnie martwi twój stan. Kiedy je karmiłaś?

- Dopiero skończyłam.

- To dobrze. Idźcie już.

- Przecież nie możemy prosić... - zaczął Oz, wskazując na Roxanne.

- Z pewnością możecie - przerwał mu Jack. - Po waszym powrocie mógłbyś zająć się autem Roxanne. Wiem, że to niedziela, ale... To najlepszy sposób, by odwdzińczyć się za pomoc przy dzieciach. Jeszcze chwilę dyskutowali, w końcu jednak wyszli. Jack rzucił Roxanne nieśmiałe spojrzenie.

- Nie gniewasz się, że cię w to wrobiłem?

- Skądże - odparła, zajęta podziwianiem stopek niemowlęcia. Pulchne paluszki były takie słodkie.

Jack uprzątnął stół i sięgnął na półkę po czysty ręcznik.

Wszystko to robił z gaworzącym niemowlakiem na ręku. Rozpostarł ręcznik na stole, ułożył na nim dziecko i otworzył torbę.

- To jest Amy, a tamta to Sue, albo odwrotnie. Nie potrafię ich odróżnić - wyjaśniał Roxanne, która tymczasem znalazła wolne krzesło. - Mają po trzy miesiące. Prawda, kochanie?

Pocałował małe paluszki dziewczynki, która patrzyła na niego z wyraźnym uwielbieniem. Widać było, że ten mężczyzna potrafi oczarować każdą kobietę, bez względu na jej wiek.

- Mam nadzieję, że to nie zapalenie uszu. Na szczęście nic na to nie wskazuje.

- Czemu więc tak strasznie płakały? Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Niemowlęta często płaczą. W dodatku, jak większość bliźniąt, urodziły się trochę przed terminem i bywają nadpobudliwe. Czasami wystarczy położyć je na chwilę albo dać komuś innemu do potrzymania, żeby się uspokoiły.

- Lisa wygląda, jakby była na granicy załamania.

- Lisa ma dopiero dwadzieścia lat, a Oz zupełnie nie potrafi pogodzić pracy z rolą męża i ojca. Zajmie to trochę czasu, ale w końcu wszystko się ułoży.

Roxanne znalazła chusteczkę i otarła mały nosek.

- To pierwsze niemowlę, jakie trzymam na ręku. Jack opuścił stetoskop.

- Nie wierzę.

- Naprawdę. - Ułożyła dziewczynkę na swoich kolanach i poruszyła jej rączkami. Malutka uśmiechnęła się i zagaworzyła.

- Spójrz, rozśmieszyłam ją.

Popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Wydawał się taki duży w tej zagraconej kuchni, tak bardzo tu nie pasował, a jednak zachowywał się swobodnie. Przywodził jej na myśl kameleona, który dostosowuje barwy do otoczenia. Nagle ogarnęło ją niezrozumiałe pragnienie, żeby choć raz zobaczyć, jak się peszy, jak wygląda, gdy jest skrepowany.

Musi mnie uważać za skończoną kretynkę, pomyślała.

Dwudziestosiedmioletnia kobieta, która pierwszy raz ma do czynienia z niemowlęciem i pieje z radości, bo udało się jej rozbawić maleństwo.

- Zamienimy się teraz dziećmi - polecił Jack, podając jej zbadane już niemowlę.

Dziecko zakasłało i Roxanne delikatnie poklepała je po plecach.

Zdumiewające! Okazało się, że uspokajające pomruki, które słyszy, wydobywają się z jej własnego gardła.

Jack sięgnął po telefon i przez chwilę coś komuś tłumaczył uprzejmym, ale stanowczym głosem. Zakończył rozmowę i mrugnął do Roxanne.

- Zaraz nadejdą posiłki - poinformował ją.

Chwilę później wrócili rodzice bliźniaczek. Widać było, że zdołali odzyskać siły. Oz wnosił torby z zakupami, podczas gdy Jack instruował Lisę, jak podawać dzieciom przepisany syrop.

- Znasz moje ciotki, Weronikę i Sadie, prawda?

- Kiedyś były właścicielkami restauracji - przypomniała sobie Lisa.

- No właśnie. George, ich szofer, wkrótce je tu przywiezie. Już nie mogą się doczekać, żeby się zająć waszymi maluchami.

- Nie możemy ich wykorzystywać...

- Zaopiekują się dziećmi, a ty się zdrzemniesz. To polecenie lekarza. Oz, Roxanne ma do ciebie sprawę.

Lisa zajęła się rozpakowywaniem zakupów, a Roxanne tymczasem opowiedziała, co się stało z autem. Jej relację uzupełnił Jack, wtrącając, że chyba doszło do uszkodzenia miski olejowej.

- Wymiana zajmie jakiś dzień - ocenił Oz. - Oczywiście, jeśli mam w warsztacie potrzebne części. - Spojrzał na żonę i dzieci. - Dziś po południu ściągnę tu pani auto - powiedział z westchnieniem.

- Wystarczy, jeśli zrobi pan to jutro. - Zależało jej, by jak najszybciej odzyskać samochód, ale nie miała serca psuć Ozowi niedzieli.

- W takim razie zajmę się tym jutro z samego rana - obiecał z wyraźną ulgą. - Zatrzymała się pani u Doca?

Bardzo by tego pragnęła. Wtedy byłoby najłatwiej złamać upór Sal i dowiedzieć się, co starsza pani ukrywa. Jack jednak odwrócił wzrok, kiedy na niego spojrzała. Zrozumiała, że nie chce jej dłużej gościć.

- Nie - odparła. - Wrócę do motelu.

Wychodzili już, kiedy odezwał się pager i Jack zawrócił do telefonu. Roxanne zamarło serce, bo intuicyjnie wyczuła, że stało się coś niedobrego.

- Dzwoniła Nancy Kaufman - mówił tak cicho, że tylko ona mogła go usłyszeć. - Muszę natychmiast jechać do radia.

- Jadę z tobą - powiedziała, chwytając Jacka za rękę.

Prowadził szybko, w duchu dziękując Bogu, że jest niedziela i na ulicach właściwie nie ma ruchu.

Czuł na sobie zaniepokojone spojrzenie Roxanne. W pierwszej chwili chciał ją podrzucić do motelu, ale uznał, że nie może tego zrobić. Tangent w niedzielę sprawiało wrażenie zupełnie wymarłego. Po południu zamykano nawet restauracje.

- Czy Nancy coś grozi? - spytała cicho Roxanne.

- Skądże znowu - odparł. Jednak wcale nie był tego taki pewny. Nancy i Paul od lat starali się o dziecko. Udało się, tyle że Nancy dobiegała już czterdziestki. - Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. - Nie martw się, zaraz tam będziemy.

Widocznie jego dotyk uspokajał ją, bo nie cofnęła ręki. Szkoda, że nie mógł tego powiedzieć o sobie. Nagle zapragnął wyciągnąć Roxanne z samochodu i dogłębnie zbadać, jakie właściwie żywi wobec niej uczucia. Zastali Nancy na kozetce w jednym z pomieszczeń radiostacji.

Towarzyszył jej kilkunastoletni chłopiec, który kręcił się po pokoju, nerwowo wyłamując palce.

- Doc - powitał Jacka z wyraźną ulgą.

- Już w porządku, Tony. - Jack poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się. Nancy sprawiała wrażenie raczej wściekłej niż przestraszonej.

- Daj spokój, Jack. To zwykłe skurcze.

- Wody nie odeszły?

- Skąd. Sam widzisz, że nic się nie dzieje.

- A jednak dzwoniłaś.

- To ja ją zmusiłem - wyznał Tony. - Kiedy moja ma-

ma zaczęła rodzić w domu, tata musiał odbierać poród. A ja nie mam o tym pojęcia!

Jack kątem oka dostrzegł, jak Roxanne zasłania usta dłonią, żeby ukryć uśmiech.

- No, już ci to nie grozi - pocieszył chłopca. - Nancy, czy skurcze były silne?

- Nie bardzo. Obiecuję, że z samego rana stawię się w gabinecie.

Sięgając po stetoskop, widział, że Roxanne odchodzi z Tonym w drugi koniec pokoju. Słyszał, że coś mu tłumaczy, choć nie docierały do niego słowa.

- Tętno płodu w porządku - poinformował Nancy.

- No widzisz? Nic się nie dzieje... - zaczęła i nagle jej oczy powiększyły się z bólu. Chwyciła się za brzuch, oddychając szybko. Kiedy skurcz minął, Jack pomógł jej usiąść.

- Jednak trzeba pojechać do szpitala. Podłączymy cię do monitora, żeby zobaczyć, co się dzieje. Możliwe, że zaczyna się poród. Gdzie jest Paul?

- Wybrał się na ryby z braćmi Boise.

- W takim razie ja cię zawiozę. Nie możemy ryzykować.

- Czemu nie weźmiesz mnie do swojego gabinetu?

- Nie mam odpowiedniego wyposażenia - wyjaśnił.

- Zostanę tutaj - odezwała się nagle Roxanne. - Razem z Tonym będziemy prowadzić program do twojego powrotu, Nancy. O nic się nie martw.

- A gdzie jest Tony? - zdziwił się Jack.

- Kazałam mu zagotować dużo wody.

- Chyba za często oglądasz telewizję - zaśmiał się Jack.

- Na tym polega moja praca. - Pochyliła się nad Nancy.

- Powinnam się chyba przedstawić. Jestem Roxanne. Na studiach odbyłam staż w podobnej stacji radiowej. Damy sobie z Tonym radę.

- Tony jest tu całkiem nowy - wyjaśniła Nancy. - Wszystkich puściłam na wakacje, żeby przed moim porodem wykorzystali urlop. Później miała mnie zastąpić Teresa, ale teraz wyjechała z mężem na Alaskę i wraca dopiero za tydzień. Hank będzie tu jutro po południu. W tygodniu startujemy od rana, natomiast w niedzielę zaczynamy w południe wiadomościami i czterdziestopięciominutowym programem, który prowadzi pastor Thomas. W komputerze jest ramówka. Wiadomości przychodzą z centralnego serwisu informacyjnego.

- Nic się nie martw - powtórzyła Roxanne. - Zostanę tu, póki będzie trzeba. Poradzę sobie.

Jack pomógł Nancy wstać z kozetki, delikatnie poprowadził ją do samochodu.

- Dziękuję - zwrócił się do Roxanne.

- Nie ma za co.

- Przepraszam, że tak cię zostawiam...

- Nie wygłupiaj się - przerwała mu.

- Jedziemy do szpitala w Helpem. Gdyby pojawił się mąż Nancy...

- Natychmiast go poinformuję, co się stało - zapewniła.

Patrzył na nią przez chwilę. Tyle rzeczy chciałby jej powiedzieć. Myślał o tym, jak rano trzymała Ginny za rączkę, jak kołysała córeczkę Lisy, jak pocieszała Nancy. Jednak teraz nie było czasu, nie potrafiłby też znaleźć odpowiednich słów.

- Roxanne... - zaczął.

Pochyliła się szybko i pocałowała go delikatnie w usta. Jej wargi były zadziwiająco ciepłe. Stał oszołomiony nie tyle jej spontanicznym gestem, ile faktem, że to ona zrobiła pierwszy krok.

Gdy ruszał, we wstecznym lusterku dostrzegł, że Roxanne unosi rękę na pożegnanie, zupełnie jakby wiedziała, że on ciągle na nią patrzy.



## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Zgodnie z planem Roxanne odczytała w południe serwis informacyjny, wyemitowała trzy reklamy ogólnokrajowe, odczytała dwie lokalne reklamy, w końcu przeszła do zapowiedzi programu cyklicznego.

- Słuchacze dziwią się pewnie, że nie ma dziś z nami Nancy Kaufman - mówiła do mikrofonu. - Nie martwcie się, niedługo do was wróci.

Nazywam się Roxanne Salyer i choć dopiero przyjechałam do waszego ślicznego miasteczka, wiem już, że człowiek, którego za chwilę zapowiem, rozmawia z wami co niedziela, więc nie muszę go przedstawiać. Oddaję głos wielebnemu Thomasowi.

Pastor Jeremy Thomas, wysoki, chudy rudzielec o jasnej cerze, zaczął swoją cotygodniową pogadankę łagodnym, spokojnym głosem.

Roxanne wyszła ze studia. W pokoju obok czekał na nią Tony.

- Czym się zwykle zajmujesz? - zapytała chłopca.

- Pani Kaufman zleciła mi oprawę muzyczną audycji dla młodzieży. Dziś przyszedłem właściwie po to, żeby popatrzeć, jak tu się pracuje. Wie pani, co mam na myśli?

- Wiem, robiłam to samo przed laty. Cóż, na razie rozejrzyj się trochę, a potem pomożesz mi wybrać jakąś spokojną muzykę. Będzie lecieć przez godzinę, później puścimy

kolejny odcinek słuchowiska. Potem Nancy zaplanowała czterdziestominutowy program z poradami dla pań domu, znowu muzykę, pożegnanie i hymn na zakończenie emisji. Jutro przyjdź o trzeciej po południu, tak jak było ustalone z panią Kaufman. Z harmonogramu wynika, że od jutra popołudniowe dyżury przejmuje Hank Kimball.

- Umawiałem się z panią Kaufman, że będę jeszcze zostawał godzinę po dyżurze, żeby tu posprzątać.

- Świetnie. Poszukajmy teraz jakiejś taśmy, bo nie podejmuję się zastąpić Nancy w programie z poradami.

- To nic wielkiego. Po prostu radzi ludziom, jak wywabiać plamy i takie tam.

- Nie mam pojęcia o wywabianiu plam. A ty coś o tym wiesz? - spytała z uśmiechem.

- Ja się znam wyłącznie na papugach. Hoduję je. Teraz właśnie wysiedziały małe. Mogę je pani pokazać.

Roxanne roześmiała się.

- No jasne! Ciekawe miasto... Gdzie się człowiek nie ruszy, same niemowlęta. Słuchaj, Tony, nie słyszałeś przypadkiem o Dolly Aames? Spojrzał na nią w osłupieniu.

- Nie.

- Tak tylko spytałam, na wszelki wypadek. No, chodź. Pokażesz mi, gdzie są taśmy.

Paul Kaufman wpadł do studia jak burza.

- Gdzie Nancy?

- Jack zabrał ją do szpitala w Helpem. Prosił, żeby pan tam przyjechał. Odwrócił się na pięcie i już go nie było.

W końcu Tony poszedł do swoich papug, a chwilę potem Roxanne włączyła hymn na zakończenie programu i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku opuściła studio. Udało jej się przebrnąć całe popołudnie bez większej wpadki.

Ale za największy sukces uznała to, że ani jednej myśli nie poświęciła Jackowi Wheelerowi. Co z tego, skoro pojawił się w jej marzeniach natychmiast po zakończeniu emisji.

Ulegając pokusie, myślała o tym, jak na nią patrzył, jak zareagowały jego usta, gdy go pocałowała, jak wyglądały jego oczy, gdy próbował jej coś powiedzieć.

Coś jej mówiło, że nie jest Jackowi zupełnie obojętna. Niestety, musieli poprzestać na luźnej znajomości. Mieszkali setki kilometrów od siebie, żadne z nich nie zamierzało rezygnować ze swoich zawodowych ambicji, a w dodatku Jack miał wiele zobowiązań. Życie wypełniała mu rodzina, przyjaciele, ludzie z miasteczka, którzy jednocześnie byli jego pacjentami. Był potrzebny swojej małej córeczce oraz miejscowej społeczności. Przede wszystkim jednak zapewne porównywał każdą spotkaną kobietę do Nicole.

Być może rzeczywiście chciał oddać jej pocałunek. Ona na pewno z całego serca pragnęłaby, żeby tak było. Jednak doskonale wiedziała, że gdyby poddali się tym emocjom, popełniliby niewybaczalny błąd.

Wydrukowała zapis nadanych programów, uporządkowała wszystko, ale ciągle zwlekała z wyjściem. Jej rzeczy i pieniądze zostały w samochodzie Jacka, a w dodatku radiostacja była oddalona od miasteczka o prawie dwa kilometry, no i Roxanne nie miała ochoty na spacer.

Już zastanawiała się, czy jednak nie ruszyć do centrum piechotą, gdy zadzwonił telefon.

- Dzwonię z auta - mówił Jack. - Miałem nadzieję, że jeszcze cię zastanę. Będę za kilka minut.

- W takim razie czekam - odpowiedziała trochę głupawo, bo niby gdzie i jak miała pójść.

Wyłączyła ekspres do kawy, opłukała dzbanek, kluczem 'znalezionym na wieszaku przy drzwiach zamknęła radiostację i ruszyła w stronę szosy.

Och, jak dobrze było rozprostować nogi. Pustą uliczką chyba czasami ktoś przechodził, bo nagle dostrzegła błyszczącą miedzianą monetę.

Znajdowane na ulicy miedziaki zawsze przywodziły jej na myśl babcię Neli i opowiadane przez nią bajki. Po powrocie do motelu od razu do niej zadzwoni. Szkoda tylko, że nie ma dla niej żadnych pomyślnych wiadomości.

Po kilku minutach Roxanne dostrzegła auto Jacka. Po chwili z westchnieniem ulgi wsiadała do klimatyzowanego wnętrza.

- Co z Nancy? - spytała.

- Czuje się znacznie lepiej. Musi jednak leżeć do końca ciąży. Być może nawet pozostanie w szpitalu.

- Ale z dzieckiem wszystko w porządku?

- Na razie tak. Jutro czekają ją badania prenatalne. Jechali już główną szosą, ale ku zdziwieniu Roxanne oddalali się od miasteczka.

- Zabieram cię do siebie - wyjaśnił Jack, widząc jej pytające spojrzenie. - Restauracja jest już zamknięta, więc musiałybyś zjeść w barze. Byłabyś skazana na ich smażonego kurczaka.

Powinna się cieszyć, że nadarza się kolejna okazja, aby porozmawiać z Sal, ale przede wszystkim poczuła gniew.

- Nie przyszło ci do głowy, że mogę lubić smażonego kurczaka? A jeśli już zarezerwowałam pokój w „Cactus Gulch”? Może powinienes najpierw spytać mnie o zdanie? Nie jestem twoją pacjentką, dlatego nie możesz wydawać mi poleceń.

- Naprawdę chcesz, żebym odwiózł cię do miasta? Duma wzięła górę nad rozsądkiem.

- Tak.

Zwolnił i zjechał na pobocze. Odwrócił się w swoim fotelu i spojrzał jej prosto w oczy.

- Zacznę jeszcze raz. Roxanne, mam pomysł. Ponieważ zamknęli już restaurację, a tłuszcz, na którym smażą kurczaki w tutejszym barze nie był zmieniany od dwudziestu lat, czy zechcesz przyjąć zaproszenie na obiad w moim domu?

Hamując śmiech, odparła:

- W porządku. Skoro tak ładnie prosisz. Po chwili znów jechali w stronę rancza.

Mogła myśleć tylko o kąpieli z kojącym oparzenia olejkiem, świeżym ubraniu, butach we właściwym rozmiarze, chłodnym napoju i czymś do zjedzenia. No, może jeszcze o tym, żeby zobaczyć Ginny i przeprowadzić długą rozmowę z Sal. I oczywiście o Jacku. Chciała dowiedzieć się, co zamierzał jej powiedzieć przed odjazdem do szpitala, a także, co sobie pomyślał, kiedy go pocałowała.

- Uspokajam się, gdy tylko zostawiam miasto za sobą - odezwał się Jack.

- Czemu nie jeździsz do pracy konno? Roześmiał się.

- Jeździłbym, gdyby to było możliwe. Ty chyba nigdy tego nie próbowałaś?

Spojrzała na niego z ukosa.

- Nie miałam okazji, ale spodobały mi się twoje konie. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby wybrać się kiedyś na przejażdżkę.

- Roxanne, koń to nie sportowy samochód.

- Bo ja wiem? - zakpiła. - Zwrotny, dobrze bierze zakręty.

- Wariatka - powiedział z uśmiechem, który świadczył o tym, jak bardzo mu się podobają takie wariatki. Gdy dotarli do rancza, ich uśmiechy zbladły.

Na środku podwórza zobaczyli ciężarówkę. Carl stał przy otwartych drzwiach szoferki, w której siedziała Grace. Sal trzymała w ręku jakąś płachtę, a wokół tej całej grupy biegała Ginny. Wszyscy jak na komendę odwrócili głowy w stronę zatrzymującego się auta.

- Co, do diabła... - zaczął Jack, ale Carl już był przy samochodzie, wyrzucając z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego.

- Doc, Grace krwawi. Tylko trochę. To moja wiria, nie powinienem zabierać jej do kanionu.

- Carl, kochanie, zamknij się - przerwała mu Grace. Roxanne uśmiechnęła się pod nosem. Kobiety w tym mieście były naprawdę niezrównane.

- Tylko trochę plamie - wyjaśniała Grace. - Zrozumcie, że nic mi nie jest.

- Doc, co będzie z dzieckiem? - dopytywał się Carl głosem pełnym niepokoju.

- Zaraz ją zbadam. Uspokój się, Carl.

- Nie powinna się przeziębić - odezwała się Sal, narzucając koc na ramiona Grace.

Raczej mało prawdopodobne w ponad trzydziestostopniowym upale, pomyślała Roxanne. Do samochodu podbiegła Ginny.

- Tatusiu, przywiozłeś mi coś?

- Nie tym razem, kochanie - odpowiedział, wysiadając z samochodu. - Carl, zanieś Grace do pokoju.

- Trochę przybrałam na wadze - zaprotestowała Grace. - Sama pójdę.

- O, nie! - sprzeciwił się Carl.

- Nie denerwuj się. Może iść sama, jeśli tak woli - uspokoił go Jack i odwracając się do Roxanne, szepnął: - Uparta baba.

- Raczej niezależna - odszepnęła.

Nie była im potrzebna, zabrała więc walizki i przeszła do domu. Zajrzała do kilku pomieszczeń, aż znalazła pokój przeznaczony dla gości. Po prysznicu przebrała się we własne szorty i bluzeczkę bez rękawów i wreszcie, po raz pierwszy od dwóch dni, poczuła się dobrze. Kiedy założyła stare, wysłużone tenisówki, miała wrażenie, że urosły jej skrzydła.

W pokoju był telefon, postanowiła więc zadzwonić do babci Neli.

- Jak się czujesz, babciu?

- Nieźle. - Głos babci był dziwnie przytłumiony.

- Linda się tobą opiekuje?

- Ciągłe włącza odkurzacz, a ta jej głupia papuga nie przestaje skrzeczeć.

Gdzie jesteś, kochanie?

- W Tangent.

- Czy odnalazłaś Dolly? Pokazywałaś już komuś list i zdjęcie? Czuję, że ona gdzieś tam jest.

Z początku Roxanne zamierzała powoli przygotowywać babcię na złe wiadomości, ale gdy usłyszała jej pełen nadziei głos, nie potrafiła się na to zdobyć.

- Trafiłam na pewien ślad - powiedziała. - Dam ci znać, natychmiast gdy odkryję coś nowego.

- Kiedy znajdziesz Dolly, powiedz jej, że marzę, abyśmy się wszystkie jeszcze raz zebrały i wspólnie zaśpiewały.

- Babciu, nie oczekuj zbyt wiele. Dolly mogła się bardzo zmienić. Tyle czasu upłynęło.

- Nonsens! Na pewno jest tą samą słodką dziewczyną - zaprotestowała babcia, po czym przeprosiła na chwilę. Mimo zasłoniętej słuchawki, słychać było jej stłumiony kaszel.

- Babciu, czy dobrze się odżywasz?

- Wiesz sama, że ostatnio mam gorszy apetyt. Chyba jestem zbyt zdenerwowana. Na domiar złego Linda fatalnie gotuje. Nie potrafi nawet przyrządzić fasolki z puszki.

Roxanne uśmiechnęła się słabo.

- Ale tak naprawdę - ciągnęła babcia cicho - jestem po prostu porządnie przestraszona.

- Wiem, ale wszystko będzie dobrze. Zobaczysz, że prześwietlenie nic nie wykaże.

Tymczasem babcia odzyskała już równowagę ducha.

- Przecież ty zapłacisz majątek! Kończmy już tę rozmowę.

- Kocham cię - powiedziała Roxanne, nim odłożyła słuchawkę, czując, że zbiera jej się na płacz.

Babcia dotąd nie okazywała strachu. Czyżby teraz gnę-



biły ją złe przeczucia? No i ten kaszel... Chyba stawał się coraz bardziej uporczywy.

Przed drzwiami swojego pokoju natknęła się na Ginny. Usta dziewczynki drżały, oczy były pełne łez.

- Co się stało? - spytała Roxanne, klękając przy dziecku.

- Tatuś nic mi nie przywiózł. Roxanne westchnęła.

- Miał dzisiaj bardzo dużo pracy, kochanie.

- Ale obiecał mi niespodziankę.

Nagle Roxanne przyszedł do głowy pomysł.

- Ja ci coś przywiozłam. Czy to wystarczy?

- Naprawdę? Co to jest? - Dziewczynka rozpogodziła się w mgnieniu oka.

Roxanne wróciła do pokoju. Sięgnęła do szafy, gdzie odwiesiła czarną sukienkę, i z kieszeni wyciągnęła znaną na drodze monetę.

- Pieniązek? - W głosie Ginny słychać było zawód.

- Tak, ale bardzo niezwykły. - Usiadła na łóżku, a Ginny wdrapała się za nią i ufnie do niej przytuliła.

- Moja babcia mówi o nich „fartowne miedziaki” - zaczęła ze ściśniętym sercem. - Kiedy znajdziesz pieniążek, musisz go schować w jakimś tajemnym miejscu. Po pewnym czasie, gdy uzbierasz już cały stosik i wypowiesz na głos życzenie, na pewno się spełni.

W dzieciństwie święcie w to wierzyła. Wciąż miała w domu wielki słoik pełen „fartownych miedziaków”. A może powinna czym prędzej jechać do domu i wypowiedzieć swoje życzenie? Czy zaklęcie działa na odległość?

Chcę, żeby babcia była zdrowa, szepnęła w głębi serca.

- Ty płaczesz - zauważyła Ginny.

Roxanne drżącymi palcami ocierała łzy i gorączkowo zastanawiała się, jak uspokoić dziecko.

- Lepiej zatrzymaj swój pieniążek. - Dziewczynka wyciągnęła rączkę.

Roxanne zacisnęła jej paluszki wokół pieniążka.

- Nie, kochanie, przyniosłam go dla ciebie.

- Mam specjalną skrytkę - szepnęła Ginny, ześlizgując się z łóżka. W drzwiach zatrzymała się i kiwnęła na Roxanne. Poprowadziła ją do swojego pokoju, gdzie sięgnęła po różową skrzynkę. Kiedy podniosła wieczko, rozległy się tony walca, a baletnica zaczęła się obracać.

- Ach, tu jesteście - rozległ się głos Jacka. Roxanne szybko otarła ślady łez z policzków.

Jack uśmiechnął się do niej i przeniósł wzrok na Ginny. Zrobił skruszoną minę.

- Okruszku, przepraszam, że zapomniałem o niespodziance.

- Nie szkodzi. - Ginny schowała monetę i zaniknęła kasetkę. - Roxanne coś mi dała.

- A co takiego? - zainteresował się Jack i wszedł do pokoju.

- To sekret.

- Nawet przede mną?

- Przecież jak komuś o tym powiem, to już nie będzie tajemnica.

- Powiesz po dobroci, czy muszę cię połaskotać? Ginny śmiejąc się, umknęła przed ojcem.

- Jestem głodna - oświadczyła.

- Hm, Grace nie wolno wstawać z łóżka, Sal siedzi przy

niej, więc chyba sami musimy coś przygotować. - Popatrzył z nadzieją na Roxanne. - Umiesz gotować?

- No pewnie. - Nie dodała jednak, że jej wiedza kończy się na umiejętności otwierania puszek i wkładania mrożonek do mikrofalówki. - Sprawdźmy, co jest w domu.

Jack kończył już zmywanie. Dzisiejszy obiad wywołał zdziwione spojrzenia domowników. Tylko Ginny zachwyił posiłek składający się z jajecznicy, owoców i grzanek. Jacka ujęło to, że choć Roxanne najwyraźniej nie wiedziała nic o kuchni, zabrała się do roboty bez słowa protestu czy skargi.

Po obiedzie Roxanne zaoferowała pomoc w ułożeniu Ginny do snu. Sal zajęła się Grace, a Carl poszedł do zwierząt. Na szczęście, przynajmniej chwilowo, kryzys domowy został zażegnany.

Kiedy Jack skończył sprzątać kuchnię, zadzwonił do szpitala. Dowiedział się, że Nancy czuje się dobrze, a Paul wciąż przy niej siedzi. Zajrzał potem do Grace i odesłał Sal do łóżka. Na koniec udał się do pokoju córki. Ginny spała, trzymając w objęciach pudełko z pozytywką. Pokrywka była uniesiona, ale baletnica przestała się już kręcić. Na dnie kasetki leżał błyszczący pieniążek. Ciekawe, skąd się tu wziął?

Pocałował córeczkę w czoło, cicho odstawił pudełko na toaletkę i wyszedł z pokoju. Córka nieustannie go zaskakiwała. Z jednej strony rozbrykana i uparta, ale przy tym wrażliwa i czuła. Czasami mądra, czasami głuptasek, lecz zawsze najśłodsza na świecie.

Jego myśli przestały krążyć wokół córki i nagle zaprag-

nał zobaczyć Roxanne. Intrygowała go sprawa spontanicznego pocałunku. Musiał natychmiast ją znaleźć.

Pokój gościnny, który zajęła, był pusty. Jack skierował się więc na patio. Odnalazł Roxanne przy fontannie.

- Mogę się przyłączyć? - zawołał.

Odwróciła się zaskoczona. Najwyraźniej wyrwał ją z głębokiego zamyślenia.

- O, Jack.

- Pozwolisz, że włączę światło?

- Oczywiście.

Po chwili pod wodą rozbłysły lampy. Urządzenie zostało zaprojektowane przez jednego z przyjaciół Nicole i trzeba przyznać, że pomysł był znakomity. Rozgwieżdżone niebo i rozproszone w wodzie światła tworzyły niemal bajkowy obraz.

- Zaglądałeś do Grace? - spytała, gdy się zbliżył.

- Z nią wszystko w porządku, natomiast Carl może za chwilę potrzebować pomocy.

- To cudowne, że tak się przejmuje rolą męża i przyszłego ojca.

- Przestałaś się zachwycać niezależnymi kobietami?

- Teraz mówimy o małżeństwie.

- Rozumiem. Kiedy para otrzyma urzędowy świstek, to mężczyzna może już rządzić kobietą?

- Raczej mogą rządzić sobą nawzajem. Nie zgadzasz się?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Przecież byłeś żonaty - powiedziała cicho, siadając na kamiennej obudowie fontanny. Zapatrzyła się w wodę, jakby celowo unikając jego wzroku.

- Ale teraz jestem rozwiedziony - powiedział wreszcie.
- Chyba nie najlepszy ze mnie doradca w sprawach małżeńskich. Zresztą, dopiero co mówiłaś, że nie zamierzasz wyjść za mąż.

Podniosła wzrok.

- Nie powiedziałam nic takiego.
- Może po prostu zwracałaś mi delikatnie uwagę, żebym nie wtrącał się w twoje sprawy.
- Przede wszystkim, żebyś niczego z góry nie zakładała
- dodała cicho.

Przez krótki moment zastanawiał się, jakby Roxanne Sal-yer zareagowała, gdyby ją objął i pocałował. Już chciał o to spytać, ale odezwała się pierwsza.

- Czy z każdą ciążą wiąże się tyle problemów?
- Chodzi ci o Nancy? - zapytał, siadając obok. - Skądże znowu. Zwykle są tak nieskomplikowane, że aż nudne.

- A Grace?

- U niej dmuchamy na zimne ze względu na zeszłoroczne poronienie.

Poleży tydzień lub dwa i wszystko wróci do normy.

- Jak sobie poradzisz tyle czasu bez pomocy? I kto zaopiekuje się Ginny?
- Jeszcze nie wiem - westchnął ciężko. - Pewno Sal. Chociaż opieka nad Ginny byłaby dla niej zbyt męcząca. Raczej ją poproszę, żeby zajęła się Grace, a do Ginny znajdę kogoś w mieście. No i muszę poszukać kucharki.

- Ja mogłabym gotować - odezwała się Roxanne, podnosząc oczy.

- Ty? Gotować?

- Czemu nie? To znaczy, mogę się przecież nauczyć.

Na chwilę zaniemówił. Nerwowo zastanawiał się, jak w logiczny, a zarazem uprzejmy sposób odmówić. Za żadne skarby nie chciał, żeby wypytywała Sal.

- Masz pracę w Seattle - mruknął.

- Wzięłam dwa tygodnie urlopu - wyjaśniła. - Mogłabym chociaż w części odwdziaczyć się za twoją gościnność.

- No nie, Roxanne. Tak nie można. Nie masz się za co odwdzięczać. A poza tym szukasz przecież Dolly Ames i będziesz zajęta.

- Dobrze wiesz, że jedyną wskazówkę mogę uzyskać od Sal.

Widział, że nabiera tchu, więc zebrał siły, żeby z mocą odeprzeć jej kolejny argument.

- Powiedz, co mam zrobić, żebyś pozwolił mi zostać, zaopiekować się Ginny, pomóc w rozgłośni, a przy okazji możliwie delikatnie wypytać Sal?

- O rany! - roześmiał się. - I ty mówisz, że ja rozstawiam ludzi po kątach. Wszystko byłoby świetnie, gdyby nie Sal.

- Zapewniam cię, że jej nie skrzywdzę.

W gruncie rzeczy oferowała znacznie więcej, niż żądała. Chętnie przystałby na jej propozycję, jednak musiał przede wszystkim myśleć o Sal. Rozumiał, co Roxanne czuje do swojej babci, bo takim samym uczuciem on darzył Sal.

- Sal dość już wycierpiała - powiedział.

- Jak to?

Potrząsnął głową, zły na siebie. Nie powinien był tego mówić. Zaczął jeszcze raz:

- Może pójdziemy na kompromis?

- A mianowicie?

- Ty zostaniesz tutaj i zajmiesz się wszystkim, tak jak proponowałaś, a ja porozmawiam z Sal.

Spojrzała na niego z namysłem.

- Daję ci dziewięć dni na pogadanie z Sal. Jeśli jednak nic nie wskórasz, pozwolisz mi z nią porozmawiać.

- No dobrze - zgodził się w końcu. - Uff, co za dzień - dodał po chwili, wzdychając ciężko.

- I to niedziela. Jak w takim razie wygląda twój dzień powszedni?

- Znacznie spokojniej - odpowiedział, splatając ręce na kolanie. - Założę się, że twoje dni są również bardzo wypełnione. Powiedz, czym się dokładnie zajmujesz?

- Jestem producentką Midday Show.

- Co właściwie robi producent?

- Program składa się z serwisu informacyjnego, wiadomości lokalnych i reportaży. Moim zadaniem jest ułożenie tego wszystkiego w spójną całość. Wybieram tematy, uzgadniam je z Leonem, czyli moim szefem, zapraszam gości, przeprowadzam z nimi wywiady, piszę scenariusze.

- Spore pole do popisu.

- Leon najczęściej odrzuca połowę moich propozycji. Ostatnio przyszło mi do głowy, że osiągnę coś dopiero wtedy, gdy zajmę jego miejsce.

- O rany! Trzymaj się, Leonie! Roxanne roześmiała się.

- Dużo chcesz osiągnąć - dodał Jack.

- To prawda. A ty nie?

Tym razem Jack się roześmiał.

- Rozejrzyj się - powiedział cicho. - Mam wszystko: dziecko, które uwielbiam, przyjaciół, dom, który od pokoleń

należy do rodziny. - Podniósł wzrok na rozgwieżdżone niebo. - Popatrz na to wielkie niebo.

- To również twoje?

- Każdy centymetr kwadratowy - odparł. - Jak widzisz, mam całkiem dużo.

- Nie wspominając już o wszystkich zwierzętach i ich przychówku.

- To też.

- Urodziłeś się w szczęśliwym miejscu.

- Właściwie urodziłem się na północy stanu, w małym miasteczku o nazwie Arcata. Moja mama akurat wyjechała do kuzynki.

- Ale przeżycie dla rodziców!

- Tata był tutaj. Zobaczył mnie, dopiero kiedy przyjechał po mamę.

- Szczęściarz z ciebie! Upragniony, oczekiwany i zawsze kochany - zazdrośnie zauważyła Roxanne.

- Powiedzmy, że prawie zawsze. Pamiętaj o latach, które spędziłem z Nicole. Zrobiła wszystko, żeby sprowadzić mnie na ziemię.

- I co, udało jej się?

- Trochę chyba tak. Trudno zachować pogodę ducha, gdy żona odchodzi z innym.

- A co potem?

- Masz na myśli miłość? Myślę, że to zamknięty rozdział w moim życiu.

- Rzeczywiście tak jest, czy tylko tak ci się wydaje?

- Cóż za chwalebna dociekliwość. Chyba czas już na zmianę ról. Co zaszło między tobą a twoim chłopakiem?

- Zerwał ze mną - mruknęła niechętnie.



- Chyba wariat...

- Dzięki - odpowiedziała, śmiejąc się cicho. - Nie, wcale nie wariat. Pod pewnym względem jest trochę podobny do ciebie. On też pragnie mieć dom i rodzinę. Uznał jednak, że nie jestem najlepszym materiałem na żonę.

- Normalny to on nie jest. Opowiedz mi o nim.

- Kevin jest niezwykle przystojnym prezenterem wiadomości wieczornych. Kawaler, trzydzieści dwa lata. Zwykle mówi się, że to kobiety wsłuchują się w swój zegar biologiczny, jednak to Kevin zaczął coraz częściej napomykać o dziecku. Spotkał kiedyś moją matkę i na pożegnanie powiedział mi, że przypominam ją w każdym calu.

- Rzeczywiście tak jest?

- Nie wiem. Być może.

- A czy ty pragniesz tego samego co on?

- Dziecka, rodziny? Nie wiem. Jeśli faktycznie jestem podobna do matki, to raczej nie. Przed chwilą zauważyłaś, że jestem ambitna. Może to tkwi w moich genach? W każdym razie nie życzę nikomu takiego dzieciństwa, jakie było moim udziałem.

Jack sięgnął po rękę Roxanne, kciukiem delikatnie pogłaskał kostki jej dłoni. Czuł, jak przenika go emanujące od niej ciepło. Drugą ręką ujął ją pod brodę.

- Pocałowałaś mnie dzisiaj - powiedział.

- Wyglądałaś, jakby ci to było potrzebne.

- Zabawne, bo teraz ty tak wyglądasz.

- Nie.

- Tak - szepnął, pochylając nad nią twarz.

Jej usta były niewiarygodnie miękkie i delikatne. Kiedy przycisnął wargi mocniej, Roxanne przyłgnęła do niego. Po-

czuł dotyk jej piersi i bioder. Ta uległość zaskoczyła go i rozpałała jeszcze mocniej.

- Roxanne - wymruczał, wtulając się w jej policzek. Całował jej szyję, głaskał włosy, plecy, piersi. Po sile jej pocałunku poznawał, że pragnie go równie mocno, jak on jej. Równie żarliwie...

Przecież to nie w jego stylu tak zupełnie stracić głowę. Chociaż... co tam, to tylko pocałunek... no, może kilka... jeszcze tylko jeden...

Miał wrażenie, że Roxanne wyczuła jego wahanie. Odsunęła się o kilka centymetrów. Kiedy na nią spojrział, diabli wzięli cały rozsądek. Pragnął ją przytulić i tylko o tym mógł myśleć.

Za późno. Roxanne patrzyła na niego z namysłem.

- To nie jest dobry pomysł - mruknęła.

- Czemu?

- Ponieważ każde z nas jest takie, jakie jest. - Pochyliła się i pocałowała go jeszcze raz, leciutko, jakby z ociąganiem. Mógłby uznać to za zachętę, lecz nie lubił oszukiwać siebie samego.

Podniosła się szybko i ruszyła do domu. Jack patrzył, jak Roxanne idzie przez patio i miał wrażenie, że nigdy jeszcze nie odczuwał takiego żalu. Jak to możliwe, pomyślał, zrywając się na nogi. Zna ją zaledwie półtorej doby, kilka razy ją pocałował, zamienił z nią raptem kilkanaście zdań. To ona zdenerwowała Sal. Podstępnie wdarła się na jego teren, a teraz planuje zajęcie pokoju gościnnego i okupację miejscowej radiostacji. Prawdziwy najazd. Roxanne Salyer była gorsza od szarańczy! Co gorsza, nie mógł przestać o niej myśleć. Przed oca-

mi miał jej postać, ciągle czuł jej dotyk i smak. Zakreśliło mu się w głowie. Tak mieszane uczucia dręczyły go tylko raz, kiedy odchodziła Nicole.

Właśnie, Nicole... Czy Roxanne również zniknie, kiedy tylko zaspokoi swoją ciekawość?

Zaklął pod nosem. Już raz przez to przechodził.

- I wystarczy - szepnął. - Nigdy więcej.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Roxanne weszła do środka, rozglądając się niepewnie. Jedyne w Tangent sklepy z prawdziwego zdarzenia znajdowały się akurat naprzeciwko przychodni lekarskiej.

Wsadziła Ginny do wózka i ruszyła między regały w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się na obiad. Bardzo liczyła na to, że uda jej się uniknąć spotkania z Jackiem. Pewno nie zdoła zejść mu z drogi, kiedy oboje już wrócą do domu, ale tam przynajmniej nie będą musieli rozmawiać w obecności innych osób.

Boże, czemu nie można cofnąć czasu? Tym razem zachowałyby się zupełnie inaczej. Wczoraj powinna natychmiast przerwać rozmowę, gdy tylko wyraził zgodę, żeby została na ranczu. Dostała swoją szansę, by kontynuować poszukiwania Dolly Aames. Po co wdała się w rozmowę na osobiste tematy? Dlaczego pozwoliła się całować?

Rozpamiętywała wieczorne wydarzenia, wędrując wzdłuż półek. Do tej pory czuła na wargach dotyk ust Jacka. Nikt jeszcze nie całował jej tak żarliwie, niczyje pocałunki nie rozbudziły w niej takiego pożądania.

Dobrze, że starczyło jej zdrowego rozsądku, by to natychmiast przerwać. Nie wolno im posunąć się dalej.

Właściwie dlaczego nie?

Jack jej się podobał. Ona jemu także. Co w tym złego, że nie potrafią się sobie oprzeć?

Ginny zainteresowała się lodówką pełną lodów, więc Roxanne pozwoliła jej wybrać lizak z zamrożonego soku. Patrzyła, jak dziewczynka zмага się z celofanowym opakowaniem i w tym momencie zrozumiała, na czym polega niebezpieczeństwo. Zobowiązania... Jack czuł się odpowiedzialny wobec Sal, a przede wszystkim wobec córki.

Dziś Roxanne zabrała Ginny do radia. Dziewczynka zachowywała się idealnie. W różowo-fioletowym plecaczku przywiozła masę zabawek i przygotowane przez Sal drugie śniadanie. Kiedy Roxanne wchodziła na antenę, Ginny bawiła się pluszowymi misiami lub zajadała kanapki z masłem orzechowym.

- Czy jadacie kurczaki? - Roxanne zatrzymała wózek przy ladzie z mięsem.

- Nie wiem. - Ginny ciągle zмагаła się z celofanowym opakowaniem.

- No, przecież na przyjęciu były kurczaki - przypomniała sobie Roxanne. Mój Boże, czy to możliwe, że urodziny odbyły się dopiero dwa dni temu? Niesamowite... Ale wracając do obiadu... Co niby miałyby zrobić z całym kurczakiem? Może lepiej wziąć hamburgery? - Lubisz hamburgery? - zwróciła się do Ginny.

- Wolę lody. - Ginny uporała się wreszcie z opornym opakowaniem. Już po chwili buzia dziewczynki była lepka i brudna.

- Kochanie, posłuchaj. Musimy wybrać coś na obiad. Może kotlety schabowe?

Ginny wzruszyła ramionami.

Roxanne przez moment przyglądała się befsztykom z polędwicy. Moment, co ja wyprawiam? - pomyślała. Co niby potem zrobię z tym mięsem? Odwróciła się zdecydowanie i po chwili wrzuciła do wózka dwie duże mrożone pizze.

Stojąc przy kasie, zauważyła starą puszkę po kawie.

- Zbieramy pieniądze na papugi Tony'ego - wyjaśnił kasjer, widząc jej zainteresowanie.

Na naklejonej etykiecie nie było opisu, tylko rysunek przedstawiający starszą panią, która na kolanach trzymała klatkę z żółto-zieloną papugą.

- Ach tak - powiedziała Roxanne, podpisując czek. Obsługujący ją mężczyzna w średnim wieku rzucił

okiem na adres w Seattle i zmarszczył brwi. Najwyraźniej nie darzył zaufaniem czeków spoza własnego stanu.

Roxanne domyśliła się, że rozmawia z właścicielem sklepu. Przed wejściem zauważyła szyld „Wstąp do Bena”, to samo imię widniało na identyfikatorze kasjera.

Ben spojrzał uważnie na Ginny, po czym przeniósł wzrok na Roxanne. Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

- Już wiem. Zatrzymałaś się u Doca Wheelera. Roxanne Salyer, prawda? No co, Ginny? Jak ci smakuje lód?

- Wiśniowo - odpowiedziała dziewczynka z pełną buzią.

- Słuchałem cię dziś przez radio. Nie gniewaj się, że to mówię, ale powinnaś z większą werwą czytać nasze miejscowe reklamy - zwrócił się do Roxanne.

- Staralam się...

- Pewno tak. Tylko... wiesz, Nancy robi to jakoś weselej. Rozumiesz?

- Przepraszam. Jutro postaram się, żeby to zabrzmiało żywiej - obiecała Roxanne. - Ben, długo tu mieszkasz?

- Od urodzenia.
- Słyszałeś może kiedyś o Doiły Aames?
- Nie, a czemu pytasz?

Przy drzwiach zabrzmiał dzwonek zwiastujący nadejście klienta.

- Nieważne. Opowiedz coś o papugach Tony'ego.
- Tony zajmuje się hodowlą - odezwał się ktoś za jej plecami.

Jack! Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Odwróciła się gwałtownie. Jack pocałował Ginny w czubek głowy i zręcznie uniknął lepkiego uścisku.

- Kiedy pisklęta dorastają, Tony za zebrane pieniądze kupuje klatki i karmę i rozdaje papugi niepełnosprawnym lub niedołącznym ludziom. Raz w tygodniu robi objazd, żeby sprawdzić, czy wszyscy właściwie dbają o ptaki. W zeszłym roku obdarował twoją teściową, prawda, Ben?

- Czemu to robi? - spytała, patrząc na Jacka.
- Czemu to robi? - powtórzył Jack. - Chyba dla satysfakcji. Po prostu lubi pomagać ludziom.

Roxanne wzruszyła ta informacja. Kto by pomyślał, że ten siedemnastolatek ma takie wrażliwe serce.

- To na obiad? - zapytał Jack, wskazując pizzę. Poczula ogarniający ją wstyd. Cholera, dlaczego nigdy nie nauczyła się gotować?

- Mhm - mruknęła, składając sobie solenne przyrzeczenie, że dziś do poduszki poczyta książkę kucharską.

- Kiedy zobaczyłem mój samochód, domyśliłem się, że przyjechałaś po zakupy - powiedział Jack, gdy wyszli ze sklepu. - Musiałem się z tobą zobaczyć, więc przyszedłem.

W łeb wzięły wszystkie postanowienia. Jak tu zachować zdrowy rozsądek i panować nad emocjami, skoro serce omal nie wyskakuje z piersi na wieść, że Jack jej szukał?

- Rano widziałem się z Nancy. - Z rąk Roxanne wyjął torbę z zakupami, włożył do bagażnika, a wyciągnął paczkę chusteczek. Wprawnymi ruchami wytarł buzię i rączki Ginny. - Słyszała twój program.

- I co mówiła? - spytała, trochę rozczarowana, że tylko to chciał jej powiedzieć.

- Ze świetnie sobie radzisz.

- Uff, ulżyło mi. Bo ten facet przy kasie zarzucił mi właśnie, że źle czytam reklamę jego sklepu.

- Benem nie należy się przejmować - pocieszył ją Jack, sadzając Ginny w foteliku. - W każdym razie Nancy jest ci niezmiernie wdzięczna.

Powiedziała, że oczywiście ci zapłaci.

- Nie - padła stanowcza odpowiedź.

- Jednak...

- Jack, powiedz Nancy, że to zwykła koleżeńska przysługa. Ludzie z dużych miast też wiedzą, jak pomagać innym w potrzebie. Poza tym przyszedł mi do głowy pomysł na konkurs. Sądysz, że Nancy się zgodzi?

- Jeśli nie wymyśliłaś czegoś nieprzyzwoitego, to z pewnością.

- Czy będę mogła ją odwiedzić?

Zastanawiał się przez chwilę, po czym kiwnął głową i odpowiedział:

- Czemu nie? Miałaś już jakieś wieści o swoim aucie?

- Jeszcze nie. Kiedy jechałam do radiostacji, auto nie stało już na drodze, więc Oz je chyba odholował. Zaraz



tam pojedziemy. Może już wkrótce nie będziesz musiał jeździć do miasta starą ciężarówką.

- Nie przeszkadza mi to.

Na parę sekund zapadła cisza. Kiedy tak stali, patrząc na siebie, przypomniała sobie, jak wspaniale czuła się w jego ramionach, jak ich ciała pasowały do siebie. Wyglądało na to, że myśli Jacka wędrowały tym samym torem. Czy to możliwe?

- Co do ostatniej nocy... - zaczął.

- Tak?

- Miałaś rację.

- O...

- Dobrze, że przynajmniej jedno z nas nie przestało myśleć, prawda?

- Przecież ty też myślałeś - powiedziała cicho.

- O czym ty mówisz? - spytał, unosząc brwi.

- Czułam, że coś cię rozprasza.

- A więc to moja wina?

- Jaka znowu wina? - Nagle uświadomiła sobie, że nieliczni przechodnie przypatrują się im z uwagą. Ściszyła głos. - Nie przypisywałam ci żadnej winy.

Idąc za jej spojrzeniem, rozejrzał się wokół. Najwidoczniej wśród przechodzących ludzi dostrzegł znajomych, bo pozdrowił ich ruchem głowy. Skrzywił się.

- Porozmawiamy w domu - powiedział, otwierając drzwiczki. Wsunęła się za kierownicę, a Jack bez słowa wrócił do pracy.

Kilka minut później Roxanne parkowała przed warsztatem Oza. Przez otwartą bramę widziała swój samochód na

podnośniku. Oz podszedł do niej, wycierając ręce w zatłuszczoną różową szmatkę.

- Próbowałem cię złapać.

- Wszystko trochę się skomplikowało - odparła, odpinając pasy przy foteliku Ginny. Dziewczynka podniosła główkę, krzyknęła radośnie i puściła się biegiem w stronę domu.

- Ginny! - przestraszyła się Roxanne.

- Nie denerwuj się. Zobaczyła swoje babcie - uspokoił ją Oz i po chwili dodał, zniżając głos: - Nie to, żebym narzekał, ale te staruszki całkiem zawładnęły Lisą i bliźniaczkami.

Drzwi domu otworzyły się i starsza pani, którą Roxanne pamiętała z przyjęcia na ranczu, otoczyła Ginny pulchnymi ramionami.

- Nieźle załatwiłaś swoje autko. - Oz wrócił do rzeczy. Roxanne wysłuchiwała potulnie listy uszkodzeń.

- Mieszkaś teraz na ranczu, prawda? - upewnił się po chwili Oz.

- Tak, zostanę tam przez kilka dni. - Przestała się już dziwić, że wie o tym całe miasteczko.

- Słyszałem cię dziś w radiu. - Oz spuścił wzrok i trąc policzek, dodał: - Wiesz, ta moja reklama. Brzmiała tak trochę... hm... zupełnie, jakbym miał nocny klub, a nie warsztat. Kiedy Nancy ją czyta, każdy wie, że prowadzę solidną firmę.

Roxanne pokiwała głową.

- Tak, rozumiem. Poprawię się.

- Dzięki.

- Roxanne, spójrz!

Ginny szła ze skupionym wyrazem buzi, dzierżąc w obu rączkach ogromne lody.

- To dla ciebie - zdążyła tylko tyle powiedzieć, nim potknęła się o wystającą płytkę i upadła jak długa, a lody wylądowały w kwietniku z opony.

Rozległ się przeraźliwy krzyk.

- Psiakosc, to musi boleć - zmartwił się Oz. Roxanne podbiegła i uklękła przy dziewczynce.

- Bardzo się uderzyłaś? - pytała, podnosząc ją z ziemi i otrzepując żwir z pulchnych kolanek. - Już w porządku?

W odpowiedzi Ginny zanosła się płaczem. Rozpaczała raczej z powodu zmarnowanych lodów, a nie bólu, i chociaż Roxanne doskonale zdawała sobie z tego sprawę, poczuła natychmiast wyrzuty sumienia.

- Chodźcie do domu - zawołała od drzwi starsza pani. - Jesteś znajomą Jacka, prawda? Ja nazywam się Weronika, a to moja siostra, Sadie.

Jesteśmy ciotkami Jacka, siostrami jego ojca. Ginny, uspokój się.

Dostaniesz inne lody.

Nigdzie nie było widać Lisy i niemowląt, natomiast domek w środku zmienił się nie do poznania. Chociaż w pokoju nie ubyło rzeczy, panował tu idealny porządek, a z kuchni dolatywał smakowity zapach.

- Co tak pięknie pachnie?

Weronika pociągnęła nosem i machnęła lekceważąco ręką.

- Nic specjalnego. Rosół z kury.

- Nie wiedziałam, że rosół tak pięknie pachnie.

- Nie żartuj. Nie gotujesz zup?

- Nawet nie wiedziałabym, od czego zacząć.

- Oho, zdaje się, że Sadie będzie miała co robić.

Roxanne zupełnie nie wiedziała, o czym mówi Weronika i wolała się nawet nie domyślać.

Weronika Wheeler mogła mieć jakieś sześćdziesiąt kilka lat. Była potężną kobietą o zdrowej, rumianej cerze i ufarbowanych na rudo włosach. W kwestii ubioru przejawiała dość ekstrawagancki gust, jeśli sądzić po różowych dżinsach i turkusowej bluzce ozdobionej naszytymi kryształkami. Siwowłosa Sadie przypominała siostrę wiekiem i budową ciała, jednak najwyraźniej była ulepiona z innej gliny. Nosila okulary, a ubrana była w prostą jasnoniebieską sukienkę.

- Gdzie Lisa i dzieci? - spytała Roxanne starszą panią.

- Lisę wysłałyśmy do fryzjera, a bliźniaczki śpią. A przynajmniej spały, póki Ginny nie narobiła rabanu. - Kiedy to mówiła, z kuchni dał się słyszeć brzęczyk. - Muszę zająć się zupą. Zastąpisz mnie i zajrzysz do dzieci? Łóżeczko stoi w sypialni.

Niemowlęta leżały w dwóch krańcach łóżeczka. Jedno maleństwo nadal mocno spało, drugie zaczęło się wiercić. Roxanne wzięła dziecko na ręce i przysiadła na łóżku. Rany boskie! Dlaczego wydaje jej się, że dziewczynka ma ciemnoczerwone paznokietki u nóg?

Podeszła do drzwi, żeby lepiej się przyjrzeć.

- To jest Sue. Sadie pomalowała jej paznokcie, żebyśmy mogły je odróżnić - zawołała Weronika z kuchni.

Roxanne wróciła do pokoju. Kołysała dziecko w ramionach, gruchając i mruczając uspokajająco. Nigdy wcześniej nie przyszłoby jej do głowy, że potrafi wydawać takie dźwięki. Wkrótce malutka Sue zamknęła oczka. Ależ to maleństwo jest słodkie, pomyślała Roxanne. Jej usta całkiem bezwiednie ułożyły się do pocałunku.

Czemu nagle przyszła jej na mys'1 babcia Neli? Czyżby w Tangent działały jakieś nadprzyrodzone moce? Czy to przeznaczenie przywiodło ją do tego miasteczka, żeby wśród tych wszystkich noworodków przypomniała sobie, co jest w życiu najważniejsze? Żeby pamiętała, że kiedy jedno życie przemija, w jego miejsce pojawia się nowe?

- Już wiem! - szepnęła nagle. - Nikt nie umiera do końca. Wreszcie to zrozumiałam.

Jack nie miał pojęcia, jak to się stało, że Roxanne tak się zaprzyjaźniła z ciotkami. Nawet teraz wszystkie trzy panie, a właściwie cztery, bo Ginny nie odstępowała ich na krok, siedziały w kuchni, gdzie starszki udzielały Roxanne lekcji gotowania. Można się było z tego tylko cieszyć, szczególnie na wspomnienie rozmiękłych, bezkształtnych placków, które Roxanne zaserwowała im na obiad dwa dni temu.

Sal ulokowała się w fotelu i czytała gazetę. Jack nie dziwił się, że nie dołączyła do pozostałych kobiet. Sal nie przepadała za towarzystwem jego ciotek, chociaż wszystkie były mniej więcej w tym samym wieku. No, a tym razem chciała jeszcze dodatkowo uniknąć Roxanne.

Przyszło mu do głowy, że nadarza się świetna okazja, aby z nią porozmawiać. Zastanawiał się, jak powinien zacząć. Prawdę mówiąc, wcale nie wierzył, że potrzebna mu jakaś specjalna taktyka. Sal z pewnością nie unikała rozmowy na temat Dolly Aames. Po prostu była opryskliwa, i tyle.

Z kuchni dobiegł gromki wybuch śmiechu. Sal podniosła głowę znad gazety.

- Co je, u Boga, tak cieszy? - burknęła ze złością. Faktycznie, co śmiesznego może być w gotowaniu kurczaka?

- Nie mam pojęcia - odparł. - Sal, chciałbym cię o coś spytać.

- No to pytaj. - Złożyła gazetę i spojrzała na Jacka zza okularów. Odchrząknął, zbierając się na odwagę. Sal zawsze bardzo strzegła swojej prywatności. Ojciec Jacka ciągle to powtarzał, starając się powstrzymać jego dziecięcą ciekawość, która często prowadziła do nietaktownych pytań.

- Uświadomiłem sobie nagle, że nic o tobie nie wiem. Popatrzyła na niego takim wzrokiem, że chętnie uciekłby, gdzie pieprz rośnie. Dwadzieścia lat temu na pewno tak by właśnie zrobił, teraz jednak ciągnął dalej.

- Pamiętam, że urodziłaś się w Idaho, ale nic nie wiem o twoich rodzicach ani rodzeństwie.

- Byłam jedynaczką, tak jak ty - odparła chłodno. - Skąd to nagle zainteresowanie moją rodziną?

- Myślałem o tej kobiecie, którą Roxanne usiłuje odnaleźć. Może ją znałaś, tylko wyleciało ci z pamięci jej nazwisko...

Słowa zamarły mu na ustach. Ze zdumieniem patrzył, jak Sal gwałtownie ściąga z nosa okulary i nerwowo poleruje szkła brzegiem bawełnianej koszuli.

- Sal? - spytał niepewnie.

- Czemu to robisz? - mruknęła, rzucając mu niespokojne spojrzenie. Nagle nabrał przekonania, że Sal naprawdę coś ukrywa. Na Boga, Roxanne miała rację!

- Bo się o ciebie martwię. Od chwili gdy Roxanne zaczęła wypytywać cię o Dolly Aames, zachowujesz się jakoś dziwnie.

- Wcale nie!

- Przecież znam twoją przeszłość - powiedział cicho. Osłupiał, widząc przerażenie, jakie pojawiło się w jej oczach.

- Twój ojciec obiecywał, że nikomu tego nie zdradzi - powiedziała wyraźnie wstrząśnięta.

- I dotrzymał słowa. W zeszłym roku, kiedy zachorowałam, zajrzałem do twojej karty. Musiałem poznać historię choroby.

- A więc wiesz...

- Tak, o mężu, dziecku i wypadku. Bardzo mi przykro.

- Ja... nie lubię o tym mówić. - Sal ponownie założyła okulary. - To wszystko wydarzyło się tak dawno. Z trudem doszłam do siebie. Twój tatuś zaoferował mi schronienie. Staralam się nie spoglądać wstecz, więc nie bardzo mi się podoba, że próbujesz zmusić mnie do wspomnień.

Do diabła, o co w tym wszystkim chodzi? Zastanawiał się nad następnym pytaniem, gdy do salonu wpadła Roxanne. Policzki miała zarumienione, a jej ciemne oczy tryskały radością.

Sal, korzystając z okazji, podniosła się szybko i mrużąc coś o nakrywaniu do stołu, wymknęła się do kuchni. Roxanne popatrzyła na nią ze zdumieniem, po czym przeniosła wzrok na Jacka, któremu natychmiast wyleciały z głowy wszystkie dziwactwa Sal.

- Obiad podano - oznajmiła, kłaniając się z gracją. I zmieniając ton, spytała: - Co się stało Sal?

- Nic - odparł krótko.
- Mam nadzieję, że nie próbowałaś jej zastraszyć?
- Bardzo śmieszne.
- Tylko tak pytam. Wiesz, twoje ciocie nigdy nie słyszały o Dolly Aames.
- Niech diabli porwą tę Dolly Aames - warknął. - Mam tej kobiety powyżej uszu.

George, szofer Weroniki i Sadie, uparł się, żeby zjeść w kuchni, Carl zabrał swój obiad do pokoju żony, więc Jack był jedynym mężczyzną przy stole. Pod czujnym spojrzeniem zgromadzonych pań wziął do ust kęs kurczaka pokrytego gęstym, pomarańczowym sosem. Sal ze wzrokiem utkwionym w talerz skubała swoją porcję.

- Pyszności - pochwalił danie Jack. Roxanne promieniała.
- Kurczak w sosie słodko-kwaśnym - wyjaśniła. - Weronika powiedziała mi, że to przepis twojej mamy.
- Twoja mama była znakomitą gospodynią - odezwała się ciotka Sadie.
- Uwielbiałem jej tort czekoladowy - przypomniał sobie Jack.
- Tak, pamiętam. Rzeczywiście był wspaniały - zgodziła się Sadie.
- Moja babcia również piekła rewelacyjne ciasto czekoladowe - wtrąciła Roxanne. - Poszczególne warstwy przekładała wiśniami. Od lat już nie jadłam tak bajecznego ciasta.
- Czy twoja babcia nie żyje? - cicho spytała Weronika. Roxanne pokręciła głową i z uśmiechem, który rozjaśnił jej oczy, odparła:



- Nie. Niedawno była ciężko chora i nadal bardzo się o nią martwimy, ale moja babcia jest silną kobietą.

Sal podniosła wzrok znad talerza. Przez dłuższą chwilę patrzyły sobie z Roxanne w oczy. W końcu Sadie przerwała ciszę.

- Może upiekłybyśmy dla Roxanne tort czekoladowy według przepisu mamy Jacka? - zwróciła się do siostry.

Nagle zrobiło się zamieszanie, gdyż prawie wszyscy mieli coś do powiedzenia.

- Och, nie - zaprotestowała Roxanne.

- Ależ, moje kochane... - zaczął Jack.

- Piknik na koniach! Proszę, tatusiu, proszę! - pisnęła Ginny.

- Wspaniały pomysł - przytaknęła Weronika. - Co ty na to, Jack? Roxanne ma wakacje, a ty zagoniłeś ją do pracy.

- Ty też za dużo pracujesz, młody człowieku - dorzuciła Sadie. - Kiedy ostatnio pozwoliłeś sobie na odrobinę zabawy? Musisz odpocząć.

- W zeszłym tygodniu urządzaliśmy przyjęcie urodzinowe - prychnął Jack.

- Och, nie o to mi chodzi. Jesteś za poważny, jak na swój wiek. Zgodzisz się ze mną, Sal?

Sal przerwała przesuwanie ziarenek ryżu po talerzu.

- Nie mam pojęcia - odparła, wzruszając ramionami.

- Za to ja mam - oświadczyła zdecydowanym tonem Weronika. - Jack, zabierzesz Roxanne i Ginny na Sandy Butte. Razem z Sadie przygotujemy wam prowiant na piknik. No jak?

- Świetnie! - Sadie poparła siostrę. - Co powiecie na sobotę?

- No to jak, Jack? - spytały, tym razem chórem.
- Zdaje się, że wszyscy o czymś zapomnieli - przerwała im nagle Roxanne. - Ja nie umiem jeździć konno.
- Ciotka Weronika szybko przerwała ciszę, która zapadła po tym wyznaniu.
- Och, też mi coś. Jack cię nauczy. Poza tym to łatwa trasa, a konie Jacka są dobrze ułożone, prawda, Jack?
- Niby tak, ale jeśli Roxanne boi się jeździć...
- Bardzo chciałabym się nauczyć - przyznała Roxanne, patrząc mu prosto w oczy. - Oczywiście, jeśli się zgodzisz.
- Zrobi to z przyjemnością - wyrwała się Sadie.
- W tym samym momencie Roxanne uśmiechnęła się do Jacka. Teraz już na pewno nie potrafiłby jej odmówić.
- Zaczniemy jutro wieczorem - postanowił.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Rojo, gniadosz, o którego istnieniu nie miała dotąd pojęcia, kończył objeżdżać koral. Roxanne kątem oka widziała siedzącą na ogrodzeniu Ginny i Jacka, który od dłuższego czasu stał ze wzrokiem wbitym w ziemię. Domyślała się, że z trudem powstrzymywał śmiech.

Nic dziwnego, że rozśmieszył go jej amatorski występ. Trening trwał od godziny, a ona nie zrobiła żadnych postępów. Potwornie bolało ją siedzenie, a łokcie nadal od-stawały od ciała.

- Macie niezły ubaw - zauważyła, podjeżdżając do Jacka.

- Idzie ci coraz lepiej - odpowiedział.

- Kłamca. Co mam zrobić, żeby ten potwór stanął?

- Ściągnij cugle i krzyknij „Prr”.

Koń rzucił łbem, ale po chwili rzeczywiście stanął. Odetchnęła z ulgą, dziękując Bogu, że pierwsza lekcja dobiegła końca. Tylko jak teraz zsiąść? Była obolała i miała wrażenie, że od ziemi dzieli ją dobre kilkaset metrów.

Jack podprowadził konia do ogrodzenia, przerzucił cugle przez belkę i stanął tuż przy nodze Roxanne.

- Naprawdę dobrze sobie radziłaś.

- Nie wysilaj się, lepiej pomóż mi z niego zleźć.

- Zapomniałaś, co ci mówiłem? Zsiadasz zawsze z jednej strony...

- To znaczy, z której?

- Z lewej. Wyjmij prawą nogę ze strzemia, przerzuć ją nad siodłem, potem wyjmij lewą i trzymając się łęków, zsuń się na ziemię - tłumaczył ze śmiechem.

Kiedy zawisała w powietrzu, objął ją w talii i delikatnie postawił na ziemi. Odwróciła się i podniosła wzrok. Jack rozluźnił uścisk, ale nie cofnął się.

- Zobaczysz, jeszcze trochę, a będziesz świetnym jeźdźcem - zapewnił.

- A wszystko po to, aby dostać porcję tortu. Co za łakomstwo.

- Dla takiego ciasta warto się poświęcić.

Ogarnęła ją pokusa, żeby stanąć na palcach i pocałować go. Pragnienie było tak silne, że zakręciło jej się w głowie.

Ginny już zażywała wieczornej kąpieli, a Roxanne przy pomocy Jacka rozsiodłała Rojo. Kiedy Jack odprowadzał konia, ona zabrała siodło do stodoły i na niepewnych, ciągle drżących nogach wdrapała się na stóg siana. Przysiadła obok legowiska kotów i odetchnęła głęboko.

Pragnęła wypytać Sal, odnaleźć Dolly i wrócić do domu. Tylko tyle.

Nieprawda. Przede wszystkim pragnęła Jacka Wheelera.

Spojrzała na miauczące kotki. Ależ się zmieniły w ciągu tych pięciu dni.

Ostrożnie podniosła białego kotka i pogłaskała go po puszystych uszach.

- Jesteś tam? - od drzwi dobiegło wołanie Jacka.

- Tak. Ja, koty, psy i konie - odkrzyknęła.

Goldy zarżała na dźwięk głosu Jacka. Pogłaskał klacz po pysku, potem poklepał żrebaka, którego nazwali Poco

Oro. Na chwilę zatrzymał się jeszcze przy Aggie i jej szczeniakach, wreszcie wspiął się zręcznie na stóg i usiadł obok Roxanne.

- Słyszałem dziś w radiu, jak ogłaszałaś konkurs. Akurat wpadłem do szpitala. Nancy była pod wrażeniem.

- Miałam nadzieję, że się jej spodoba.

- Jak wpadłaś na to, żeby uhonorować ludzi dobrej woli?

- Zawsze interesowali mnie ludzie, którzy nie żyją wyłącznie dla siebie.

Nie zgadzam się z moim szefem, który twierdzi, że to nie jest temat na czasie. Udało mi się przekonać kilku miejscowych kupców, by ufundowali nagrody. Teraz tylko trzeba czekać na reakcję słuchaczy.

- A kto wybierze zwycięzców?

- Nancy. W czwartek wieczorem Paul zawiezie jej listę kandydatów i już w piątek będę mogła ogłosić wyniki.

- Bardzo rozsądnie to wszystko wymyśliłaś - powiedział ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy.

Jego spojrzenie sprawiało, że czuła się piękna, pożądana i bardzo wyjątkowa.

- Moim faworytem jest Tony - przyznała. - Jego pomysł z papugami jest niezwykle oryginalny.

- Też tak sędzę - zgodził się, nie spuszczać z niej oczu.

- Dziś natomiast słuchaczka zgłosiła mężczyznę, który zatrzymał się na szosie i pomógł parze starszych ludzi, którym popsuł się samochód. Ta historia mnie wzruszyła, bo przecież przeżyłam coś podobnego. Gdybyś się nie pojawił i nie...

Jack zmarszczył brwi.

- Nie chciałbym znaleźć się wśród kandydatów na lokalnego bohatera.

- Bardzo jestem ciekawa, co w najbliższych dniach przyniosą listy i telefony od słuchaczy.

- A potem odjedziesz.

W tej chwili akurat o tym nie myślała, ale przecież Jack miał rację.

Odłożyła kotka na siano i odwróciła twarz do Jacka.

- Rozmawiałaś już z Sal?

- Przez chwilę.

- Tylko przez chwilę?

- Trzeba postępować delikatnie. Na razie przygotowuję grunt. A jak się ma twoja babcia? Dzwoniłaś do niej?

- Dwa dni temu. Ciągle kaszle. Zadzwonię do niej podczas weekendu.

Miałam nadzieję, że będę mogła przekazać jej jakieś informacje.

- Przecież dałaś mi dziewięć dni - przypomniał.

- Wiem, przepraszam.

- Nie ma za co. Rozumiem doskonale, czemu się denerwujesz - odparł, kładąc rękę na jej dłoni. Jego ręka była ciemniejsza, większa, silniejsza.

- Chyba powinniśmy pójść do łóżka - odezwała się.

- Czy masz na myśli to, co pragnąłbym usłyszeć, czy raczej to, czego niestety jestem niemal pewien? - spytał, zniżając głos do szeptu.

Roxanne zadrżała.

Jack podniósł jej dłoń do ust. Opuściła powieki, kiedy zaczął całować jej palce. Bała się, że kiedy otworzy oczy i w jego twarzy zobaczy tę samą żądzę, która ogarnęła jej ciało, nie zdoła już nad sobą zapanować.

Jack, nie przerywając pieszczoty, wyszeptał jej imię. Gdy podniosła wzrok, dostrzegła, że wpatruje się w jej twarz, jakby chciał zapamiętać ją na zawsze.

- Wiem, że nie powinniśmy - powiedział cicho.
- A jednak... - zaczęła, po czym pochyliła się i przywarła wargami do jego ust.

Poddała się namiętności. Jack ciepłymi, wilgotnymi pocałunkami pokrywał jej powieki i szyję, Roxanne pieściła językiem jego ucho.

- Nie wiem zupełnie, co z tym zrobić - szeptał Jack z ustami przy jej policzku. - Naprawdę nie wiem. Składam sobie obietnice i już po chwili robię wszystko, żeby je złamać. Wiem, że ty tego nie chcesz, więc postanowiłem, że ja też nie.

- To nieprawda - przerwała mu. Był w błędzie.

- Sam nie wiem, co o tobie myśleć, Roxanne.

- No, to jest nas dwoje.

Kiedy znów pocałował jej usta, myślała tylko o tym, żeby rzucić się w jego ramiona.

- A teraz do łóżka - powiedział. Nie musiał dodawać „każde do swojego”. To było jasne.

Do czwartku Roxanne miała już czterech kandydatów na bohatera tygodnia. W piątek rano Paul Kaufman przywiózł do radia zaklejoną kopertę z nazwiskiem zwycięzcy. Spośród czterech kandydatów Nancy wybrała kalekiego chłopca, który przez rok przygotowywał się do występu na igrzyskach dla niepełnosprawnych. Zrezygnował ze startu na wieść o chorobie matki. Nie został co prawda mistrzem olimpijskim, ale teraz miał swoje pięć minut.

W sobotę rano Sadie i Weronika dostarczyły turystyczną łódzkę pełną prowiantu na piknik. Jack przytroczył pojemnik do siodła Milo.

Pod okiem niemal wszystkich domowników Roxanne udało się dosiąść konia i wyjechać z podwórza. Ruszyła za Jackiem i Ginny.

Gniady koń wydawał się znudzony trasą. Z przodu dolatywały pomruki Jacka i radosny śmiech Ginny, która siedziała w siodle przed ojcem.

Chyba świetnie się razem bawili. Roxanne wołała skoncentrować się na tym, żeby utrzymać się na koniu.

Gdy wjechali na pustynię, Roxanne rozglądała się ciekawie. Jednak po jakimś czasie jej spojrzenie nieodmiennie wracało do Jacka.

Boże, ależ jestem beznadziejna, skrytykowała się w duchu.

Dzień był piękny, choć bardzo gorący. Na niebieskim niebie widać było pierzaste chmurki, które dawały złudną nadzieję, że potem być może pokropi deszcz. Pustynia wydawała się bezkresna i dziwnie nieruchoma.

W pewnym momencie droga zaczęła piąć się do góry. Roxanne uchwyciła się łęku i grzywy, żeby zachęcić konia do wspinaczki. Rojo na szczęście nie miał żadnych kłopotów ze stromym traktem. Szedł powoli i pewnie, toteż po chwili Roxanne uwierzyła, że może zaufać jego instynktowi.

Kiedy już była przekonana, że wjechali na sam szczyt urwiska, pojawił się kolejny zakręt i ponowne wzniesienie. Wokół rosły karłowate drzewa, powietrze stało się chłodniejsze. Rojo statecznym krokiem wędrował pod górę, a Roxanne niespokojnie myślała o czekającej ją jeździe w dół.

Wreszcie znaleźli się na płaskim terenie. Roxanne rozejrzała się za Jackiem. Wjechał tu znacznie wcześniej, a teraz czekał na nią w cieniu drzewa. W jego wzroku dostrzegła zdumienie i coś, czego nie rozumiała.



- Już znacznie lepiej trzymasz łokcie - pochwalił, kiedy podjechała bliżej.
- Pochlebca! Za to mam odciski na pupie. Czy już jesteśmy na miejscu?
- Prawie. Prawda, Ginny?

Ginny zajęta była pochłanianiem jabłka, więc tylko kiwnęła głową.

Roxanne rozejrzała się wkoło.

- Jaki piękny widok! - Aż trudno uwierzyć, że od chwili, gdy się zgubiła w tych właśnie stronach, upłynął zaledwie tydzień. - Chyba ze sto odcieni brązu.

- To, co widzisz przed sobą, to Dolina Śmierci.

- Która, jak pamiętam ze szkoły, jest najgorętszym i najbardziej suchym miejscem w całych Stanach.

- Nazwę zawdzięcza poszukiwaczowi złota, który zgubił drogę - dodał Jack. - Indianie używali innej nazwy: Tomesha, czyli Ziemia w Ogniu.

- Pasuje.

- Pojedziemy jeszcze odrobinę wyżej, do tamtych drzew.

Po kilku minutach byli na miejscu. Ginny natychmiast wdrapała się na skałkę z nieodzownym plecaczkiem pełnym pluszowych misiów. Jack pomógł Roxanne zsiąść z konia. Tym razem szybko cofnął rękę.

- Tak tu inaczej niż w Seattle - powiedziała, odchodząc w stronę brzegu urwiska.

- Przede wszystkim nie ma wody - zaśmiał się, rozluźniając koniom popręgi.

- Ani wody, ani statków, ani chmur, ani mew. Zupełnie inny świat.

Chciałabym pokazać ci Seattle - powiedziała

to, nim zdążyła pomyśleć. Jack jednak nie odrywał wzroku od pojemnika z prowiantem, który odwiązywał od siodła.

- Widziałem już twoje strony - odpowiedział w końcu, rozkładając koc pod drzewem. - Kiedyś podczas wakacji podróżowałem wzdłuż Zachodniego Wybrzeża. Bardzo tam pięknie, tylko mokro.

- Faktycznie - przyznała. Miał wrażenie, że nagle posmutniała. Może ogarnęła ją tęsknota za domem?

Roxanne patrzyła na jałową ziemię w dole. Piasek, skały i małe drzewka. Zgaszony brąz, beż, kość słoniowa i zieleń tak przytłumiona, jakby jej wcale nie było. Nad tym wyblakłe, rozpalone niebo. A ona zamierzała pokonać tę pustynię prawie bez przygotowania!

- W Seattle dostałem klaustrofobii - mówił Jack, podchodząc bliżej. - Jest tam tyle drzew, budynków i gór. Jeśli dodać do tego chmury, mgłę i deszcz, który zasłania wszystko od góry do dołu, świat wydaje się strasznie mały.

- No tak - zgodziła się Roxanne. - Tu faktycznie jest ogromny. - Odwróciła się do niego. - Chyba taka wycieczka nie jest dla ciebie zbyt miła?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zdumiał się.

- Twoje ciocie powiedziały mi, że kiedyś przyjeżdżałeś tu bardzo często. Niewiele wiem o twojej byłej żonie, ale...

- Jedną chwileczkę - przerwał jej, unosząc dłoń. - Nigdy tu z nią nie byłem.

Roxanne patrzyła na niego z otwartymi ustami.

- Nicole nienawidziła koni, pustyni, pikników, skał i mnie.

- Mam już pełny obraz - przerwała Roxanne i dodała cicho: - Z pewnością jednak mylisz się, mówiąc, że nienawidziła ciebie. Nie wierzę, żeby mogła cię nienawidzić.

Miał kłopoty z odzyskaniem głosu.

- Mówisz to tak, że... ja... - zająknął się. Odchrząknął i podjął pewniejszym już głosem: - Może masz rację i „nienawiść” nie jest właściwym słowem. Ona po prostu czuła, że ją zawiodłem: Liczyła na to, że przy mnie jej życie stanie się ciekawe i zabawne, a tymczasem... Sama widzisz, co jej zaoferowałem.

- Nie mogłeś przecież zapewnić Nicole wszystkiego, czego jej brakowało. A kiedy już miała Ginny...

- Nie posiadałem się ze szczęścia, kiedy zaszła w ciążę. Zawsze chciałem mieć dzieci, a poza tym liczyłem, że dziecko scementuje nasz związek. Nic bardziej błędnego. Dzieci nie przychodzą na świat po to, żeby cokolwiek naprawiać. Teraz już wiem, że to rola rodziców. Ale przede wszystkim nie wziąłem pod uwagę natury Nicole - mówił dalej. - Dla niej dziecko było jeszcze jednym hobby. Po pewnym czasie znudziło ją.

- Ależ była głupia!

- Oboje byliśmy głupi.

- Ale ona porzuciła swoją córkę!

- To prawda. Jednak znacznie gorzej byłoby, gdyby ją ze sobą zabrała. Poruszyłbym niebo i ziemię, żeby ją odzyskać. Nicole w gruncie rzeczy chyba po raz pierwszy nie myślała wyłącznie o sobie i zostawiła Ginny, wiedząc, że tu będzie córeczce lepiej.

Roxanne nie próbowała z nim dyskutować, choć w głębi duszy była przekonana, że Nicole nie zabrała dziecka, bo byłoby tylko przeszkodą podczas upojnego romansu.

- I tak Ginny została bez matki - westchnął Jack. - Dlatego Sal jest dla nas tak ważna. Grace oczywiście też, ale

Grace lada moment będzie miała dziecko i zechcą z Carlem zamieszkać we własnym domu. Pewno przebudują dla nich dawne studio Nicole. Będą bardzo blisko, ale to już nie to samo. Jedyną kobietą w domu pozostanie Sal. Jestem z nią tak samo związany, jak ty ze swoją babcią. Roxanne domyślała się, co Jack chce jej powiedzieć. Po raz pierwszy poczuła, że nie ma prawa go zmuszać, żeby wypytywał Sal. Jack nie skrzywdzi przecież kobiety, która dla niego tyle znaczy tylko po to, żeby zaspokoić ciekawość obcej osoby, która za tydzień zniknie z jego życia. Pozostaje czekać, aż Jack da jej znać, że nie udało mu się niczego dowiedzieć, i wtedy sama spróbuje. Z ostatniej rozmowy z Sal wynikało, że bardzo ją poruszyła wiadomość o chorobie babci. Może знаła babcię właśnie z opowiadań Dolly Aames?

Omam nie krzyknęła, gdy nagle poraziła ją nowa myśl. A może Sal i Dolly Aames to jedna i ta sama osoba?

Nie.

Właściwie czemu nie? To przecież możliwe. Czy między kobietą ze zdjęcia a starą opiekunką Jacka da się zauważyć jakieś podobieństwo? Trzeba to przemyśleć. Nic dziwnego, że Sal jest taka drażliwa, jeśli faktycznie ukrywa się pod fałszywym nazwiskiem. Gdyby udało się sprawdzić, czy ma na szyi pieprzyk...

Powinna jednak zrobić wszystko, żeby nie wplątać w to Jacka. Odkrycie tajemnicy na pewno zdenerwuje Sal. ale lepiej, żeby gniewała się na Roxanne, a nie na Jacka.

- Jack, czy Sal ma na szyi pieprzyk? Z prawej strony? - spytała.

Pokręcił głową.

- Nie, a o co chodzi?

Ginny wybawiła Roxanne z kłopotu.

- Jestem głodna - wołała, próbując dobrać się do turystycznej lodówki.

- Chyba czas coś zjeść - poparł córeczkę Jack Siedzieli pod drzewem, jedząc kurczaka i sałatki, a

w końcu tort, który był znakomity, choć delektowanie się nim w tych warunkach okazało się nieco uciążliwe. Potem wszyscy musieli zetrzeć z rąk i twarzy ślady czekolady.

Kiedy Ginny wróciła do swojej zabawy misiami, Jack zamknął oczy i wyciągnął się na kocu. Czy tak właśnie wygląda życie rodzinne? - zastanawiała się Roxanne, patrząc na jego zrelaksowaną twarz. Tak dobrze się tu czuła. Chciała jednak dostać więcej, nawet gdyby to miało trwać tylko chwilę, nawet gdyby oznaczało wielki ból. Pragnęła należeć do Jacka choćby przez jedną godzinę. Chyba nie mogłaby żyć ze świadomością, że nie zdecydowała się na podjęcie ryzyka.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła kosmyk włosów, który opadł mu na czoło.

Jack otworzył oczy i chwycił jej dłoń, a wtedy, ulegając palącemu pragnieniu, pochyliła się nad nim i przytknęła usta do jego warg.

Droga powrotna wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Dzień upłynął wspaniale, a mimo to Jack czuł ogarniające go znużenie. W pierwszej chwili sądził, że spowodowała to rozmowa o nieudanym małżeństwie, ale kiedy pocałował Roxanne, wiedział już, że Nicole nie ma z tym nic wspólnego.

Tak to powinno wyglądać, myślał. Tego właśnie potrze-

buje Ginny. Na tym polega dobry związek. Tylko co z tego? Roxanne za kilka dni już tu nie będzie.

Pragnąłby odrzucić wszelką ostrożność i sprawdzić, czy Roxanne chce tego samego. Zaczął już nawet rozważać, czy nie udałoby się kontynuować ich związku na odległość, ale przecież życie z drugim człowiekiem wymaga poświęceń: energii, czasu, uwagi. Zbyt dużo wiedział o świecie, żeby nie zdawać sobie sprawy, że w ich sytuacji to nierealne.

Nie wyobrażał sobie również przeprowadzki z rodziną do Seattle, ani tego, żeby taka kobieta jak Roxanne zechciała zamieszkać w Tangent. Co im więc pozostawało?

Zupełnie nic...

Chyba że zdecydują się na krótkotrwały gorący romans. Może to jest wyjście?

A zatem? Miał wrażenie, że Roxanne również do tego dojrzała. Może po prostu należy ją zapytać? Z nowoczesnymi kobietami lepiej chyba nie próbować żadnych sztuczek, tylko od razu wykładać karty na stół.

Mogliby się kochać od rana do wieczora przez cały następny tydzień. Tak czy inaczej, pora się na coś zdecydować.

Wieczorem Jack odpowiedział na kilka telefonów, które w ciągu dnia zarejestrowała automatyczna sekretarka, po czym usiadł w ulubionym fotelu i wpatrując się w akwarium, zadumał się nad problemami swoich pacjentów.

Wreszcie Roxanne pojawiła się w salonie. Po obiedzie wzięła prysznic i przebrała się w jasnoniebieską długą sukienkę na cienkich ramiączkach. Sukienka była prosta, na-

wet bez zaszewek, ale na Roxanne leżała świetnie i znakomicie podkreślała jej zgrabną figurę. Włosy Roxanne luźno opadały na ramiona, poparzenia już prawie zupełnie zniknęły, zastąpiła je świeża, złota opalenizna. Usiadła na sofie i westchnęła.

- Grace nie może doczekać się powrotu do kuchni -oznajmiła. - Mówi, że ma dość leżenia, ale z pewnością przede wszystkim dobijają ją moje potrawy.

- Dzisiejszy obiad był znakomity - pochwalił.

Sal oderwała się od książki i patrząc na Roxanne znad okularów, mruknęła:

- Hm.

Roxanne uśmiechnęła się. Bezbłędnie pojęła, co ten dźwięk miał oznaczać.

Sal odłożyła książkę i wyciągnęła rękę do Ginny.

- Czas do łóżka.

- Ale...

- Tylko bez dyskusji - wtrącił się Jack, całując córeczkę we włosy. - Idź z Sal, kochanie. Później do ciebie zajrzę.

- Ja też chciałabym już się położyć - pożegnała ich Sal. Trzymając Ginny za rękę, wyszła z salonu.

- Sal nie może się doczekać, kiedy wyjadę - szepnęła Roxanne. - Miałeś rację. Przyjrzałam się bardzo uważnie i rzeczywiście nie ma żadnego pieprzyka.

- Skąd ci przyszedł do głowy ten pieprzyk?

- Dolly Aames miała na szyi takie znamię. Jack pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Ależ ty masz wyobraźnię! Roxanne wzruszyła ramionami.

- Dziś przeżyłam naprawdę wspaniały dzień - powiedziała, zmieniając temat.
- Ja również. - Czuł narastające zdenerwowanie. Salon zupełnie nie nadawał się do rozmowy, którą zamierzał przeprowadzić.
- Grace mówiła mi, że w gabinecie trzymasz ptaki - odezwała się nagle. - Mogę je zobaczyć?
- Teraz?
- Tak, teraz - odparła z uśmiechem. Miał wrażenie, że przejrzała jego plany. Nonsens, przecież to niemożliwe.
- Jasne, chodź.
- Uroczy pokój - powiedziała Roxanne, gdy znaleźli się w gabinecie. Bywał tu tak często, że przestał to zauważać. Patrzył, z jakim zachwytem Roxanne ogląda meble obite ciemnobrązową skórą, półki pełne książek, wielkie drewniane biurko i stary jak świat perski dywan.
- To zasługa mojego ojca. Jedyne moje wkład to komputer, ptaki, no i kilkadziesiąt książek.
- Aż trudno uwierzyć, ile ich tu masz. - Przeciągnęła dłonią po grzbietach.
- Muszę ostudzić twój zachwyt. Trzy dolne półki to albumy z rodzinnymi zdjęciami - wyjaśnił.
- Będę je mogła obejrzeć?
- Oczywiście. Możesz tu przychodzić, kiedy tylko masz ochotę. Ale to stare albumy. Nowsze trzymam w salonie, by były pod ręką.
- Jak się nazywają? - zapytała Roxanne, zaglądając do klatki z ptakami.
- Myrna i Loy.



- Jak odróżniasz samca od samiczki? Oba wyglądają identycznie. Nie miał pojęcia, czemu mieliby rozmawiać o ptakach, ale głośno powiedział:

- Samiec buduje gniazdo, śpiewa, skacze wokół samiczki ze źdźbłami trawy w dziobie i straszy piórka. A samiczka siedzi i patrzy na to ze znudzoną miną.

- Na pewno nie jest znudzona - zaprotestowała Roxanne, odwracając się od klatki. - Jest rozbawiona i bardzo jej to pochlebia.

Spojrzał jej w oczy. Niepotrzebnie, bo poczuł się, jakby wpadał do studni bez dna.

- Stałaś się nagle ekspertem od ptaków?

- Nie, ale jestem kobietą.

Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Nagle wydało mu się, że w pokoju zrobiło się potwornie duszno. Poczował, że musi się odsunąć od Roxanne. Chociaż na chwilę. Sztywno podszedł do biurka, zapalił lampę i usiadł na obrotowym krześle.

Na miłość boską, co ja wyprawiam? - zdenerwował się. Jeszcze przed chwilą chciał jej zaproponować romans, ale ledwo zaczęła się ta rozmowa o ptakach, kiedy przewiercała go tymi ciemnymi oczami, przypominając, że jest kobietą, uciekł. Zachował się jak dziecko. Najwyraźniej jego rozsądek walczył resztkami sił i choć ciało pragnęło pójść na skróty, rozum na to nie pozwalał.

Roxanne ruszyła w jego stronę. Przy każdym ruchu sukienka zdawała się przytulać do jej ciała, ciasno opinając kołyszące się lekko biodra, kształtne piersi, brzuch, uda... Być może usłyszałby również cichy szelest jedwabiu, gdyby

nie to, że każdy dźwięk zagłuszało głośnie bicie jego serca. Pochyliła się i sięgnęła do wyłącznika przy lampie.

- Roxanne... - zaczął.

- Mogę usiąść? - spytała cicho.

Stała tak blisko, że musiał odchylić się, żeby na nią spojrzeć. Nie czekając na odpowiedź, usiadła mu na kolanach.

- Obejmij mnie - szepnęła.

Czuł, jak jej ciało drży. A więc denerwowała się tak samo jak on. Zaśmiał się cicho.

- Roxanne, chyba zamierzasz mnie uwieść.

- Skąd to przypuszczenie? - zdziwiła się, całując go w czoło. Jej piersi znalazły się tuż przy jego twarzy. Ich miękki dotyk był jak zaproszenie.

- Igrasz z ogniem - ostrzegł, czując, jak na jej bliskość reaguje każda cząsteczka jego ciała.

Jej włosy łaskotały go w twarz, kiedy szepnęła mu do ucha:

- Udowodnij...

Nie miał ochoty na żarty. Nagle wydało mu się, że musi jej pokazać, co czuje. Pocałował ją gwałtownie i zbyt mocno, ale nie potrafił się opanować. Pieszcząc jej język, czuł, jak rozkosz przenika jego ciało.

Oddała mu pocałunek z takim samym żarem. Przez cienki materiał sukienki pieścił jej piersi, brzuch, nogi. Jej jęki doprowadzały go do szaleństwa, przyciągnął ją mocno, pocałunki stawały się coraz głębsze, dłuższe, bardziej wilgotne.

Odsunęła się na chwilę, oblizując wargi.

- Pragnęłam tego od chwili, gdy pocałowałeś mnie tamtego wieczoru - wyznała cicho.

Znów ją przyciągnął i zmusił, żeby rozchyliła usta. Wsu-

wała palce w jego włosy, głaskała go po karku, plecach i ramionach, przytulając się do niego coraz mocniej. Jack przesunął dłoń wzdłuż jej nogi, pod sukienkę, po jedwabistym udzie. Kiedy pod palcami poczuł materiał majteczek, piekące pragnienie, żeby je z niej zerwać, przyprawiło go o zawrót głowy.

Znaleźli się blisko punktu, skąd nie ma już odwrotu. Czuł, jak miękkie i uległe staje się jej ciało. Pragnął zdjąć z niej ubranie, patrzeć na jej nagość, pokrywać pocałunkami każdy skrawek jej skóry od włosów po czubki palców, kochać się z nią tu, na krześle, na podłodze.

Gdziekolwiek...

Chwycił ją pod kolana i podniósł do góry.

- Gdzie pójdziemy? - wyszeptała ochryplym z pożądania głosem.

- Czy to ważne?

- Nie.

Kiedy ją niósł, całowała go w szyję i pieściła językiem jego ucho. Działał jak w transie, póki nie stanął przed drzwiami.

Jak mieli stąd wyjść? Co będzie, jeśli spotkają Carla? Albo jeśli Sal przyjdzie porozmawiać o Ginny? No właśnie! Mała, nie doczekawszy się taty w swoim pokoju, może przybiec, żeby dać mu buzi na dobranoc.

Popatrzył na Roxanne. Była najbardziej ponętną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Wiedział jednak, że nie powinni przekroczyć progu gabinetu. Choć przyszło mu to z najwyższym trudem, postawił ją delikatnie na podłodze.

- Nie mogę - szepnął. Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Nie chcesz? Myślałam...

- Nie, ukochana, oczywiście, że chcę. Umieram z pragnienia. Przez całą noc będę leżał bezsennie, żałując, że nie przekroczyłem tego progu i tyle straciłem. Ale tu mieszka moja rodzina. Jest dość wcześnie i myśl, że ktoś z nich... Przepraszam. Przykro mi.

- Mnie również - odparła i uśmiechając się tęsknie, dodała: - Rozumiem.

- Trudno mi w to uwierzyć - mruknął.

- Tydzień temu pewno bym nie zrozumiała, ale teraz, kiedy mieszkam z wami, wiem, jak bardzo jesteście sobie bliscy, jak bardzo dbacie o siebie nawzajem.

Otoczyła go ramionami, przytulając policzek do jego piersi. Stali bez ruchu, trzymając się w objęciach. Jack słyszał, jak uspokaja się jej oddech, jak ich serca zaczynają bić tym samym rytmem. Stopniowo docierało do niego, że nigdy nie wystarczy mu sam seks. Nie z Roxanne. Nie miał bladego pojęcia, jak sobie poradzi z tym problemem.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Dwa dni później Roxanne weszła do jubilera. Rano zostawiła Ginny u jej małej koleżanki, jednak już za pół godziny miała ją odebrać'.

Od dwóch dni poruszała się jak w transie. W niedzielę Jack musiał nagle wyjechać do pacjenta, więc udało jej się uniknąć spotkania z nim. Na szczęście, bo naprawdę nie wiedziała, jak miałaby mu spojrzeć w oczy po klęsce, którą poniosła sobotniego wieczoru.

Ranek spędziła w rozgłośni, potem zajmowała się Ginny. Od czasu do czasu podejmowała próbę złapania Sal, ale starsza pani ciągle robiła zręczne uniki. Na domiar złego, lekarz babci wyjechał z miasta i nie można było na razie odebrać wyników prześwietlenia.

Kobieta za ladą była starsza od brunetki, z którą poprzednio rozmawiała Roxanne.

Kiedy Roxanne wyjaśniła, że reprezentuje radio, kiwnęła energicznie głową.

- Już przynoszę - powiedziała, wychodząc na zaplecze. Po chwili wyniosła stamtąd puchar z wygrawerowanym nazwiskiem zwycięzcy.

- Nazywam się Pansy Miller - przedstawiła się sprzedawczyni. -  
Przyjechałam zastąpić wnuczkę.

- W takim razie nie mieszka pani w Tangent na stałe?

- Teraz już nie. Kiedyś tu mieszkałam. Z Billem, moim pierwszym mężem, prowadziliśmy właśnie ten sklep. Mieliśmy też dom. Taki duży, niebieski, kilka kroków stąd. Czasami nawet wynajmowaliśmy pokoje. Jak się pani podoba puchar?

- Jest wspaniały. Nancy Kaufman prosiła, żebym przekazała państwu bardzo gorące podziękowania. - Kiedy Pansy zajęła się pakowaniem pucharu, Roxanne dodała jeszcze:

- Może przypadkiem mieszkała pani w Tangent na początku lat sześćdziesiątych?

- Aż do 1966. Wtedy wyszłam za Neda i przenieśliśmy się do Teksasu. Ned to mój drugi mąż. Bill zmarł w 1964 i w tym samym roku odeszła moja mama. Boże, ależ to był okropny rok!

- Wyobrażam sobie. Pewno nie słyszała pani o kobiecie, która nazywała się Dolly Aames? - Tyle razy już zadawała to pytanie bez żadnego rezultatu, że przez chwilę nawet nie zorientowała się, że Pansy Miller próbuje sobie coś przypomnieć.

- Dolly Aames... Pamiętam to nazwisko. Momencik...

- Znała ją pani? - Już wyobrażała sobie, jak dzwoni do babci.

- Nie, kochana. Nie znałam jej - mówiła Pansy. - To była dziwna sprawa. Pewnej zimy mieliśmy telefon od mężczyzny, który szukał Dolly Aames. Przedstawił się jako jej kuzyn, ale nie chciał zostawić żadnej wiadomości. Dzwonił potem jeszcze kilka razy. Mieliśmy wtedy dwóch lokatorów - inżyniera, który pracował przy budowie szosy, i młodą, niedomagającą kobietę, jednak nikogo o tym nazwisku. Telefony miały miejsce gdzieś blisko Bożego Narodzenia. To

musiał być rok 1963, bo ani Bill, ani mama nie doczekali następnych świąt.

- Rok się zgadza - mruknęła Roxanne, myśląc o stemplu na liście. - I więcej już pani nie słyszała o tej kobiecie?

- Nie, bardzo mi przykro.

- Och, proszę się nie martwić. To i tak najbardziej cenna informacja, jaką udało mi się zdobyć. No, muszę lecieć.

Na ulicy wpadł jej w oko błyszczący pieniążek. Fartow-ny miedziak. Powinna wypowiedzieć jakieś życzenie. Życzę sobie, żeby babcia była zdrowa, pomyślała. Żeby mogła widzieć, jak Ginny dorasta i żeby nigdy nie musiała żegnać się z Jackiem.

Przyszło jej do głowy, że gdyby poddali się swoim pragnieniom, pożegnanie stałoby się jeszcze trudniejsze.

A jednak, bez względu na wszystko, pragnęła go aż do bólu. Wpatrywała się w leżący na dłoni pieniążek, nie zauważając ani mijających ją ludzi, ani zdziwionych spojrzeń rzucanych przez przechodniów. Oczy ją piekły, nos zwilgotniał, drżała jak osika.

Babcia Neli nazywała takie uczucie objawieniem, ale aż do tej chwili Roxanne nie poznała jego mocy.

A więc to tak... Doznała nagle olśnienia! Wiedziała już, że to, czego pragnie, od czego zależy jej szczęście, jest tu, w tym mieście, a dokładnie tam na rogu, w przychodni lekarskiej.

Podniosła głowę i westchnęła. Była zakochana w Jacku Wheelerze.

Nie chodziło wyłącznie o pożądanie. Z tym łatwo by sobie poradziła. Z miłością natomiast...

A Jack? Pragnął posiąść jej ciało. Jednakże wyraźnie po-

wiedział, że nie czeka już na miłość, ani nie zamierza ponownie zawierać małżeństwa, bo nie ma szczęścia do kobiet. Za pierwszym razem wybrał niewłaściwą, tak samo jak ojciec Roxanne.

Ja jednak nie jestem do niej podobna, uświadomiła sobie i łyzy potoczyły się z jej oczu. Wreszcie to zrozumiała, więcej - była tego pewna.

Nie jestem podobna do matki, powtórzyła sobie.

Kilka godzin później siedziała z Ginny na dywanie w gabinecie Jacka.

Między nimi leżał stos albumów.

Zdjęcia były starannie ułożone i opisane. Roxanne przyglądała się uważnie dziadkom Jacka, podczas gdy Ginny kartkowała album z naklejką „Wielkanoc”. W drugiej ręczce zaciskała przyniesioną przez Roxanne monetę.

- Spójrz, tatuś miał małego króliczka - ucieszyła się. Pod fotografią widniał podpis „Wielkanoc 1966”. Trzydziestokilkuletnia kobieta o ciemnych oczach i falujących czarnych włosach stała za Jackiem, opierając wąskie dłonie na jego ramionach.

- Babcia - poinformowała ją Ginny. Wskazała niewyraźną postać w tle i dodała: - A to Sal.

Roxanne ze zdumieniem przyjrzała się młodej dziewczynie na zdjęciu.

Przerzucała albumy, póki nie znalazła etykiety „Boże Narodzenie 1960-1970”. Na pierwszej fotografii uśmiechnięci rodzice Jacka stali na tle choinki, trzymając się za ręce. Roxanne rozpoznała tutejszy salon.

Ojciec Jacka miał niezwykle sympatyczną, szczerą twarz. Pomyślała, że Jack pewnie odziedziczył wzrost po dziadkach, bo jego ojciec



był drobny i niski. Przerzucała kartki, aż trafiła na podpis „Pierwsza Gwiazdka Jacka”.

Wiedziała, że jego urodziny wypadają w lecie, więc na zdjęciu mógł mieć jakieś pięć lub sześć miesięcy. Uważnie przyglądała się rodzinie zebranej wokół świątecznego stołu: ciotkom Jacka - mój Boże, jakie młode! - jego rodzicom i młodej kobiecie, która odwróciła głowę, żeby widzieć Jacka siedzącego w wysokim krzeselku.

Na szyi kobiety widoczna była ciemna plamka. Po plecach Roxanne przebiegł dreszcz. To ta sama młoda dziewczyna, którą widziała na zdjęciu z Wielkanocy!

- Sal - szepnęła. Przekartkowała album do końca i wreszcie znalazła wyraźniejsze ujęcie twarzy.

Drzwi się uchylily i Roxanne zapomniała na chwilę o swoim odkryciu.

Nie, to nie Jack. W progu stała Sal.

- Ginny, Grace cię prosi - zaczęła, lecz głos jej zamarł, gdy zobaczyła rozłożone na podłodze albumy. Ginny wybiegła z pokoju. Roxanne powoli podnosiła się z podłogi. Spodziewała się, że Sal również odejdzie, ale stara kobieta stała z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, kurczowo ściskając kłamek.

- Przeglądałyśmy właśnie rodzinne albumy - odezwała się Roxanne.

- Znów próbujesz coś wywęszyć - prychnęła Sal ze złością, patrząc oskarżycielsko.

- Nie. Szukałyśmy zdjęć Jacka. - Głos jej się załamał i czuła, jak się czerwieni. Była pewna, że jej uczucie do Jacka jest widoczne jak na dłoni. - Kiedyś miałaś pieprzyk na szyi.

Sal machinalnie podniosła rękę i palcem dotknęła małej blizny. Dopiero teraz Roxanne uświadomiła sobie, że przecież widziała tę bliznę wcześniej.

- Stary doktor Wheeler usunął go ponad trzydzieści lat temu. I co z tego?

- To, że Dolly Aames miała identyczne znamię.

W pokoju zapanowała cisza. Roxanne postanowiła zaufać swojej intuicji.

- Czy wiesz, że zimą 1963 kuzyn Dolly Aames dzwonił do pensjonatu w Tangent, próbując ją znaleźć?

Sal patrzyła na nią w osłupieniu.

- Twój kuzyn, Sal.

- Nathan? Dzwonił Nathan? - Szept Sal był ledwo dosłyszalny.

Boże, trafiła!

- Dzwonił co wieczór przez cały tydzień.

- Od lat już o nim nie myślałam - powiedziała Sal cicho i nagle zacisnęła usta, nakazując sobie milczenie.

- Ale dlaczego, Sal? Dlaczego nagle zmieniłaś nazwisko? Dlaczego postanowiłaś się ukrywać?

Sal gwałtownie kręciła głową.

- Muszę o tym powiedzieć babci, bardzo mi na tym zależy, proszę...

- Co ją to może obchodzić? Po tylu latach,..

- Myślę, że dręczy ją poczucie winy, że nie zaczęła cię szukać wcześniej.

- Tyle lat... - powtórzyła Sal. Roxanne ściszyła głos.

- Nie mogę cię zmusić, żebyś spotkała się z moją babcią. Sama podejmiesz decyzję. Ale chciałabym ją uspokoić i za-

wiadomić, że cię znalazłam. Co mam jej powiedzieć, gdy spyta, jak się czujesz, albo kiedy zechce do ciebie zadzwonić lub napisać? Nie zamierzam narobić ci kłopotów, więc jeśli się ukrywasz...

- Nic innego nie robisz, od chwili gdy się tu zjawiaś!

- przerwała jej Sal.

- Nie chciałam...

- Dzwonił dziś Oz. - Głos Sal był lodowaty. - Twój samochód jest gotowy. - Odwróciła się na pięcie i odeszła.

- A niech to diabli! - mruknęła Roxanne, siadając znów na podłodze. Była tak blisko... O, nie, nie podda się. Spojrzała na rozłożone albumy. Dolly Aames i Sal Collins to jedna i ta sama osoba. Sal przybyła do miasta w 1963 roku, wynajęła pokój u Pansy Miller, a potem podjęła pracę u rodziny Wheelerów. Miała kuzyna o imieniu Nathan. Możliwe, że nosił to samo nazwisko. Nathan Collins.

Godzinę później albumy stały z powrotem na półkach. Ginny spała słodko na łóżku Grace, więc Roxanne zabrała się z Carlem do miasta.

Najwyższa pora, żeby odebrać samochód.

Śmiech było słychać już od progu. Otworzyła drzwi i nagle znalazła się w otoczeniu szczęśliwej rodziny. Lisa siedziała w fotelu, tuląc Amy, a może Sue - trudno zgadnąć

- a jej mąż bawił się z drugą córeczką.

Oz zdecydowanie odmówił przyjęcia zapłaty za naprawę samochodu, Roxanne zapłaciła więc przynajmniej za części. Zaraz potem pojechała do sklepu z biżuterią. Miała nadzieję, że Pansy Miller nadal zastępuje wnuczkę. Szczęście jej sprzyjało.

- To pani! - Pansy podniosła wzrok znad gazety. - Czy coś się stało z pucharem?

- Z pucharem wszystko w porządku - uspokoila ją Roxanne. - Chciałam tylko jeszcze raz zapytać o tę kobietę, która wynajmowała u pani pokój, kiedy dzwonił kuzyn Dolly Aames.

- Dobrzeją pamiętam. Biedna, smutna dziewczyna. Dzisiaj nazwano by to depresją. Któregoś wieczoru zwierzyła mi się. Zaufała mi, więc nikomu o tym nie powiedziałam. Ale to było tak dawno. Ta dziewczyna zaszła w ciążę, niestety, maleństwo urodziło się martwe.

Roxanne wstrzymała oddech. Z pewnością o tej tragedii wspominał Jack.

- Tak bardzo się ucieszyłam, gdy doktor Wheeler zaproponował jej pracę. Moim zdaniem to było prawdziwe zrzączenie losu, tym bardziej że pani Wheeler właśnie urodziła dziecko, a ta bidulka nie miała nikogo bliskiego. Jej rodzice nie żyli, potem ta ciąża i takie nieszczęście... Zawód Roxanne nauczył ją, że nawet najpewniejsze fakty należy dokładnie sprawdzać.

- Doc Wheeler dał jej pracę, mimo że cierpiała na depresję?

- Trzeba było go znać - odparła Pansy. - Proszę sobie wyobrazić, że swoją żonę wysłał w czasie ciąży do jakiejś krewnej na północy Kalifornii, bo uważał, że tu jest dla niej za gorąco. W rezultacie pozostała tam aż do rozwiązania i dopiero wtedy przywiózł ją z dzieckiem do domu.

Niewiarygodne...

Roxanne pokiwała głową. No tak. Jack mówił przecież, że nie urodził się w Tangent.

- Ta dziewczyna, Sally, też przyjechała z północnej części stanu - dodała Pansy.

Roxanne wyszła ze sklepu, dopiero gdy przez okno dostrzegła Jacka.

Marzyła, żeby znaleźć się z nim w jakimś spokojnym, dalekim miejscu.

Chciała wziąć go za rękę, wspiąć się na palce, pocałować go i wyznać mu miłość. Pragnęła dowiedzieć się, czy ma jakieś szanse na wzajemność, porozmawiać z nim o wspólnej przeszłości.

- Ależ cudowny widok dla zmęczonych oczu. - Jack wziął Roxanne za rękę. - Co za dzień! Zdażyłem już dziś przyjąć poród, zaradzić uporczywym bólowi krzyża, u jednego pacjenta stwierdzić półpasiec, a u innego grzybicę. Potem zadzwoniła Nancy. Teresa wraca pojutrze, więc rozumiem, że stracisz swoją tymczasową posadę. A kiedy zatelefonowałem do domu, okazało się, że Grace podniosła bunt i chce natychmiast wstać z łóżka, a Sal jest w bardzo kiepskim humorze. Nie wiesz, co tam się dzieje?

- Sal rozgniewała się na mnie, kiedy zobaczyła, że oglądam albumy ze zdjęciami.

- Dlaczego niby miałyby jej to przeszkadzać?

- Nie jestem pewna. Jack, wiem już, jaką tragedię przeżyła.

- Powiedziała ci? - zdziwił się.

- Nie, dowiedziałam się od kogoś innego.

- Nie miałem pojęcia, że ktoś jeszcze wie. No, to teraz rozumiesz, czemu nie chce mówić o przeszłości. Taka tragedia! Stracić w wypadku męża i dziecko...

O czym on mówi? Jaki mąż, jaki wypadek? Próbowwała złożyć wszystkie uzyskane informacje w logiczną całość. Nagle Jack pochylił się nad Roxanne.

- Dajmy ludziom jakiś temat do rozmów - zaśmiał się, całując ją.  
- W tym celu musiałbyś lepiej się postarać. Uważasz, że cmoknięcie w policzek jest warte uwagi? - szepnęła.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy zaczęli się kochać na tej ławce?

Roxanne zagryzła wargę.

- Lepiej jedź już do domu i uspokój Sal. Ja też niedługo wrócę.

Pochylił się do jej ucha.

- Wymyśliłem coś. - Jego ton nie pozostawiał wątpliwości, o czym mówi.

- Dziś wieczorem zrobimy sobie wycieczkę do studia. Będziemy tam zupełnie sami. Tylko ty i ja.

- Jack...

- Nie przyjmę żadnej odmowy, ukochana.

- Muszę jechać do radia i wykonać kilka telefonów.

- Nie siedź za długo - poprosił. Pocałował ją w usta i odszedł. Po kilku krokach odwrócił się jeszcze i z łobuzerskim uśmiechem puścił do niej oko.

Boże, jak bardzo go kochała! Czy zdoła zaoszczędzić mu bólu?

- Odchodzę. - Sal skończyła pakować walizkę i rozejrzała się po pokoju, w którym mieszkała od trzydziestu ośmiu lat. - Po resztę rzeczy przyślę, gdy już się gdzieś urządzę.

Jack jak wmurowany stał w progu.

- Jak to, odchodzisz? Co się dzieje?

- Nie mam zamiaru znosić szpiegowania w domu, który uważałam za swój własny - odparła, biorąc się pod boki.

- To przecież jest twój dom.
  - Już nie. Na pewno przestał nim być, od kiedy Roxanne Salyer zaczęła tu węszyć.
  - Sal, przesadzasz. - Jack próbował zapanować nad sytuacją. - Porozmawiam z Roxanne.
  - O, nie wątpię. I z pewnością będziecie mówić o mnie. Wiedział, że Sal nie ma dokąd pójść. Nie mógł nawet myśleć o tym, że nagle stanie się bezdomna.
  - Nie pozwolę ci odejść. Twoje zdrowie...
  - To już nie twój interes.
  - Powiedz mi chociaż, o co ci właściwie chodzi. - Za wszelką cenę starał się zachować spokój.
  - Chcę, żeby życie znów było takie, jak przed przyjazdem Roxanne. A nie chcę, żebyś za moimi plecami rozmawiał z nią o moich sprawach!
  - Wiesz, że tego nie robię!
- Sal patrzyła na niego bez słowa.
- Obiecuję, że już nigdy nie będę cię pytał o przeszłość. - Boże, co ma jej powiedzieć, żeby odzyskała zdrowy rozsądek?
  - Czy Roxanne również się do tego zastosuje?
  - Roxanne nie ma tu nic do rzeczy. Zgodziła się, żebym to ja z tobą porozmawiał.
  - No to cię okłamała. Ciągłe próbuje ciągnąć mnie za język. Pytała mnie o znamię na szyi, przeszukiwała stare albumy, bez przerwy mnie obserwuje. To intrygantka. W porządku, kiedyś nazywałam się Dolly Aames. I co z tego?
  - Roxanne nie okłamałaby mnie - zaczął. W głowie mu się kręciło. A więc Sal i Doiły to jedna osoba?
- Sal podniosła walizkę.

- Wykorzystała twoją dobroć - mówiła, kuśtykając do drzwi. - Nie zamierzam przyglądać się, jak po raz kolejny rujnujesz sobie życie.

- Sal, a co z Ginny? - zawołał za nią. - Zapomniałaś o niej?

Zatrzymała się.

- Nigdy nie zapomnę Ginny - powiedziała, powstrzymując szloch.

Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem. Ciągle jeszcze stał bez ruchu, gdy dobiegł go dźwięk ruszającego samochodu.

A więc odjechała...

Czego się właściwie spodziewał? Tylko skończony dureń mógł zaufać dziennikarce, osobie, która gotowa była stosować wszystkie chwyt, byle tylko zdobyć upragnione informacje. Myślał, że jest inna niż Nicole.

Chciał się z nią związać, razem z nią zbudować trwałą, szczęśliwy związek.

A teraz jeszcze ta historia z Sal...

Roxanne zburzyła spokój w jego domu, w jego rodzinie, którą tak bardzo starał się chronić. Obiecała, że nie będzie na razie wypytywać Sal, ale szybko złamała dane słowo. Przeraziła Sal, pozbawiła Ginny jej ukochanej opiekunki, a wszystko po to, żeby dopiąć swego. I co z tego, że Sal tak naprawdę ma na imię Dolly? Co z tego, że kłamała?

To jego wina. Stracił głowę, stracił kontrolę. Niestety, nie tylko nad zmysłami, lecz przede wszystkim nad swoim życiem.

Co go podkusiło, żeby zaufać Roxanne?

Roxanne minęła samochód Sal na pustynnej drodze. Uniosła dłoń w geście pozdrowienia, ale Sal nie zareagowała. Roxanne ogarnęły złe przeczucia.



W kuchni Jack tulił do siebie Ginny, która zanosila się płaczem.

- Dlaczego nie pożegnała się ze mną? - szlochała dziewczynka.

W pierwszej chwili Roxanne chciała wziąć ją w ramiona i utulić, ale wystarczył jeden rzut oka na twarz Jacka, by zrezygnowała z tego zamiaru. Jeszcze godzinę temu widziała w jego spojrzeniu pożądanie i czułość. Teraz jego niebieskie oczy były zwężone z wściekłości.

- Co się, na Boga, stało?

Do kuchni weszła Grace. Tuż za nią stał Carl.

- Carl opowiedział mi właśnie, co się wydarzyło - szepnęła Grace. - Tak mi przykro, że Ginny też to usłyszała. Chodź, maleńka, do mojego pokoju.

Jack skinieniem głowy podziękował im za pomoc.

- Jack...

- Sal odeszła - powiedział głucho. - Miałaś rację. Dolly Aames i ona to jedna i ta sama osoba, ale tobie nie muszę tego mówić, bo za moimi plecami wciąż męczyłaś ją pytaniami.

- Nie zdawałam sobie sprawy...

- Ach, nie zdawałaś sobie sprawy — zakpił. — Przez ciebie Sal opuściła ranczo, które od czterdziestu lat było jej domem.

Roxanne próbowała pozbyć się guli, która urosła jej w gardle. Znała już wszystkie tajemnice Sal, ale czy miała prawo podzielić się tą wiedzą z Jackiem? Nie, w ten sposób zraniłaby go jeszcze bardziej. Nie mogła tego zrobić nawet za cenę oczyszczenia się w jego oczach, nawet gdyby widziała cień szansy, że on jej wybaczy.

Patrzył na nią w milczeniu. Widziała, że coś chce jeszcze powiedzieć.

- Twój chłopak miał rację, Roxanne. Dbasz wyłącznie o własne sprawy. Jednak jesteś podobna do swojej matki.

Jego słowa raniły jak zatrute strzały. Zatoczyła się, jakby ją uderzył. Ze spuszczoną głową poszła do swojego pokoju

i spakowała torbę. Wróciła do kuchni, ale nie było tam nikogo. W domu panowała cisza. Wyszła na zewnątrz i rozejrzała się po podwórzu. Sprite i Milo patrzyły na nią z koralu. Oparła się pokusie, żeby podejść i pogłaskać je, żeby zajrzeć do kociej rodziny i małych piesków, ostatni raz spojrzeć na Poco Oro i jej mamę Goldy.

Łzy płynęły jej strumieniami, gdy odjeżdżała z rancza. Jack miał rację, przynajmniej w pewnej części. Uległa swojej ambicji, pozwoliła, żeby strach o babcię pozbawił ją zdrowego rozsądku. Przez swoją dociekliwość zniszczyła mu życie.

Chciała pokazywać innym, że świat nie jest padołem łez, że nie brakuje ludzi dobrej woli, szukała miejscowych bohaterów, a jednocześnie burzyła spokój w domu mężczyzny, którego kochała całym sercem.

Mężczyzny, który każdego dnia dawał z siebie wszystko, żeby otoczyć opieką swoich najbliższych.

Nim dojechała do motelu, wiedziała, że musi natychmiast opuścić

Tangent. Pora wracać do domu. Wiedziała jednak, że nie zrobi tego, póki nie naprawi wszystkich krzywd, jakie wyrządziła.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Dziś spotykam się z wami po raz ostatni - mówiła Roxanne do mikrofonu następnego dnia. Nad ranem ułożyła plan. O trzeciej wydawał się całkiem rozsądny, o piątej jeszcze myślała, że może się udać, ale teraz...

Tylko radio dawało jej cień szansy, żeby dotrzeć do Sal i - choć nie było to zbyt profesjonalne zachowanie - postanowiła wykorzystać antenę do celów osobistych.

Podkreśliła głośność, żeby wzmocnić głos, który osłabł od płaczu i ciągnęła:

- Jutro znów usłyszycie Teresę, a ja wrócę do Seattle, gdzie jest moje miejsce. Ale teraz mam gorącą prośbę do kobiety, która odeszła od kochającej ją rodziny. Jeśli mnie słucha, wie, że zwracam się do niej. Błagam cię na kolanach. Proszę, wróć do domu. Nic ci tam nie zagraża, wszyscy cię kochają i bardzo im ciebie brak. Niebezpieczeństwo minęło. Tylko wróć.

Czy to poskutkuje, czy Sal w ogóle włączy radio? A może należało mówić bardziej dosłownie? Postanowiła jednak, że nie będzie nic poprawiać. Powtórzyła więc tylko:

- Błagam, wróć do domu. Zrób to dla tych, którzy cię kochają.

Najchętniej uciekłyby stąd natychmiast, jednak po zakończeniu dyżuru musiała jeszcze pojechać do szpitala

w Helpem. Już wcześniej ustalono, że nagrodę dla Człowieka Tygodnia wręczy Nancy Kaufman, a ponieważ Nancy ciągle była przykuta do łóżka, trzeba było przenieść uroczystość do szpitala.

Po ceremonii Nancy zatrzymała Roxanne na krótką rozmowę.

- Wyobrażam sobie, jak niecierpliwie czekasz na powrót Teresy.

Roxanne, jesteś rewelacyjna. Naprawdę żałuję, że nie możesz tu zostać na zawsze jako moja współpracowniczka.

Roxanne uśmiechnęła się, choć serce jej się krajało. Bardzo polubiła pracę w tej małej, niemal rodzinnej stacji. Podobał jej się bezpośredni kontakt ze słuchaczami, relacje z farm, udział w debatach na lokalne tematy. W ciągu minionych dwóch tygodni częściej podejmowała samodzielne decyzje niż podczas dwóch lat pracy w Seattle.

- To twoje radio jest rewelacyjne. Znakomicie się tam czułam. Dziękuję. Nancy chwyciła ją za rękę.

- Słyszałam cię dziś rano.

Roxanne opanowały wyrzuty sumienia.

- Nancy, przepraszam. Nie powinnam wykorzystywać anteny do rozwiązywania prywatnych problemów, ale tylko to przyszło mi do głowy.

- Zastanawiałam się, czy ty i Jack... to znaczy, czy Jack i ty...

- Nie - odpowiedziała krótko Roxanne.

- Cóż, wielka szkoda - uśmiechnęła się Nancy.

Jak to się stało, że tak się związałam z tym miasteczkiem? - zastanawiała się Roxanne w drodze do Tangent. Mimo tak krótkiego pobytu czuła się tu jak w domu, a mie-

szańcy stali się jej bliscy. Czy znajdzie jeszcze gdzieś takie miejsce? Nawet jeśli istnieją w świecie podobne miasteczka, to nigdzie nie spotka Jacka i Ginny. Oni zostaną tutaj, ona zaś musi wyjechać. Najgorsza jest jednak świadomość, że ją znienawidzili.

Jej serce było jak pustynia rozciągająca się wokół: wyschnięte i opuszczone. W pokoju opadła na łóżko. Poprzedniej nocy z rozpaczy nie zmrużyła oka, dziś jednak zmogło ją zmęczenie. Jeszcze przed momentem wpatrywała się w sufit, planując wyjazd na wieczór, gdy powietrze trochę się ochłodzi, a w następnej chwili przebudziła się w zupełnie ciemnym pokoju. Ktoś pukał do drzwi.

Jack! To na pewno on, bo któż inny mógł jej tu szukać? Widocznie przemyślał to, co jej powiedział. Przyjechał ją przeprosić lub przynajmniej wysłuchać jej przeprosin. Być może zrozumiał, że jest mu potrzebna, że ją kocha.

To wszystko przemknęło jej przez głowę, gdy biegła otworzyć.

W progu stała Sal. Wydawała się jeszcze mniejsza, jakby skurczyła się przez ten czas, który minął od ich rozstania.

- Słyszałam cię dziś w radiu - powiedziała. Roxanne odeszła w głąb pokoju i przysiadła na brzegu łóżka, a Sal zrobiła krok do przodu.

- Roxanne, muszę wiedzieć, co powiedziałaś Jackowi.

- Zupełnie nic.

- Ale ty wiesz - bardziej stwierdziła niż spytała Sal.

- Wiem, że jesteś Dolly Aames i w 1963 roku pod zmienionym nazwiskiem przyjechałaś do Tangent. Właśnie wtedy napisałaś krótki list do mojej babci, a potem postanowiłaś zniknąć. Wiem również, że opowiadając o swojej przeszło-

ści, podawałaś sprzeczne fakty. Musiałam się dowiedzieć dlaczego, więc skorzystałam z radiowego komputera i spróbowałam odszukać twojego kuzyna. Znalazłam go w Kalifornii w miasteczku Arcata.

- Nie wiedziałam nawet, czy żyje - szepnęła wzruszona Sal przez łzy.

- Żyje i nadal prowadzi kancelarię prawniczą. Kiedy zadzwoniłam, był bardzo poruszony. Ucieszył się, że u ciebie wszystko w porządku. W rezultacie zdradził mi znacznie więcej, niż powinien. Dowiedziałam się, że w lipcu 1963 roku urodziłaś w Arcata zdrowe dziecko.

Sal zadrzała.

- Wiem również, że Nathan pomógł ci znaleźć rodzinę dla twojego synka. Ponieważ w żadnym albumie nie trafiłam na zdjęcie matki Jacka z okresu ciąży, postanowiłam odwiedzić Weronikę i Sadie. Kiedy zaczęły się płatać i nie potrafiły nawet powiedzieć, u kogo mieszkała matka Jacka, wnioski nasunęły się same. Jednak tylko ty wiesz, kto jest matką Jacka. Ale to wszystko nie ma znaczenia - zakończyła Roxanne. - Przysięgam, że twoja tajemnica jest bezpieczna. Nigdy nie zdradzę Jackowi ani jednego słowa na ten temat.

Z ust starej kobiety wydarł się jęk rozpacz. Serce Roxanne ścisnęło się z żalu.

- Ten mężczyzna - mówiła Sal - był mężem koleżanki z zespołu.

Powiedział, że jego małżeństwo już jest skończone. Miałam wtedy dziewiętnaście lat i rozumu tyle, co kot napłakał. Gdy zaszłam w ciążę, dał mi pieniądze. Sądziłam, że się ze mną ożeni, jak obiecywał, ale powiedział, że kocha żonę. Chciał, żebym zniknęła z jego życia.

- Miałaś przecież przyjaciół, choćby moją babcię.

- Wzbudziłabym w niej odrazę. Romansowałam z żonatym mężczyzną, w dodatku z mężem naszej koleżanki. Nie mogłam jej o tym powiedzieć. Jediną bliską osobą, której mogłam zaufać, był mój kuzyn z Arcata. Roxanne chciała jej przerwać, ale Sal najwyraźniej musiała zrzucić wreszcie ciężar, który dręczył ją od tak dawna. Być może potraktowała to wyznanie jako część kuracji oczyszczającej umysł i udręczoną duszę.

- Pojechałam do Nathana - ciągnęła Sal cichym głosem. - Znał małżeństwo, które pragnęło mieć dziecko. To było prawdziwe zrządzenie losu. Nathan zajął się prawną stroną adopcji. Ja jednak zaczęłam go dręczyć pytaniami i robiłam to, póki nie wyjawiał mi zawodu mężczyzny i miejsca jego zamieszkania. Przez jakiś czas myślałam, że to mi wystarczy, ale wkrótce okazało się, że nie potrafię z tym żyć. Przyjechałam tutaj pod innym nazwiskiem. Nie miałam kłopotów z odszukaniem mojego dziecka, bo w miasteczku był tylko jeden lekarz. A potem Doc Wheeler zaproponował mi pracę. Kiedy zmarła jego żona, zajęłam się małym Jackiem.

- Nigdy nic nie powiedzieli Jackowi?

- Nikt poza mną i moim kuzynem nie domyślał się, że jestem matką Jacka. A w Tangent tylko Sadie i Weronika wiedziały, że Jack został adoptowany. - Sal zrobiła krok do przodu. - A teraz, przez twoje wścibstwo, straciłam Jacka. - Z płaczem rzuciła się w ramiona Roxanne. - Straciłam mojego syna!

Ponad siwą głowę kobiety Roxanne napotkała przenikliwe spojrzenie Jacka. Było jasne, że słyszał każde słowo.

- Twojego syna? - szepnął. - Jesteś moją matką?

- Jack...

- Nie! Moja matka nie żyje. To jakiś szalony wymysł!

Roxanne przyszło do głowy, że ktoś słabszy, mniej wytrzymały, uciekłyby stąd i nie próbował dociekać prawdy, która przewracała do góry nogami cały jego świat, całe jego życie. Ale Jack stał bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w Sal.

- Nie chciałam cię zranić - płakała Sal.

- Więc to prawda? Sal pokiwała głową.

- Nikt mi nie powiedział, że zostałem adoptowany? Wszyscy mnie okłamywali? Ty naprawdę jesteś moją matką, Sal?

Ponownie kiwnęła głową. Żadne z nich nie ruszyło się. Roxanne odstepiła od Sal, podeszła do Jacka i ujęła jego dłonie.

- To przecież nic nie zmienia - szepnęła. - Miałeś dwie matki, które cię kochały, ciocie, które chciały cię chronić, ojca, który cię ubóstwiał i był z ciebie dumny. I nadal masz Sal, kobietę, której tak bardzo na tobie zależy, że starała się uchronić cię przed odkryciem prawdy i związanym z tym bólem, choć wyjawienie sekretu ułatwiłoby jej życie. Wychowałeś się w domu pełnym miłości. To tu stałeś się silny i dobry. Nikt nie zamierzał cię oszukiwać. Ofiarowano ci miłość i bezpieczeństwo.

Jack stał z zaciśniętymi ustami. Kiedy w końcu wysunął dłonie z jej rąk, miała wrażenie, że upadnie.

Sal siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach i głośno płakała. Jack pomógł jej wstać, nieprzeniknionym wzrokiem



spojrzał na Roxanne i otoczywszy Sal ramieniem, wyprowadził ją z pokoju.

Roxanne zamknęła za nimi drzwi i zapragnęła umrzeć.

- Wracam do Seattle - powiedziała do babci następnego ranka.

- Masz dziwny głos. Przeziębłaś się?

- Nie. Będę za dwa dni i natychmiast pojedę do szpitala zrobić awanturę. Co oni sobie myślą? Nie ma tam innych lekarzy, którzy mogliby obejrzeć twoje prześwietlenie?

- Za późno. Mój lekarz wrócił wczoraj i już są wyniki. Podejrzewa, że mam uczulenie na papugę Lindy.

Roxanne rozplakała się.

- Kochanie, słyszysz, co mówię? Jestem zdrowa! Łzy nie przestawały płynąć.

- To ze szczęścia.

- A teraz mów. Udało ci się odnaleźć Doily? Jak odpowiedzieć na to pytanie?

- Tak i nie. Opowiem ci w domu.

- No dobrze. Mam nadzieję, że miałaś przynajmniej miłe wakacje.

Nie wiedziała, co na to powiedzieć. Że wraca ze złamanym sercem? Że już nigdy nie potrafi być szczęśliwa? Na stacji benzynowej usłyszała, że Sal wróciła do domu.

- Carl przyjechał z jednym z pomocników odebrać z motelu jej samochód

- poinformował ją Oz, który wyszedł z warsztatu.

- Zadanie wykonane - szepnęła Roxanne, wyjeżdżając z miasta.

Jack galopował na Milo przez pustynię. Koń nie miał sobie równych w wyszukiwaniu właściwej drogi wśród piasku i zdradliwych kamieni. Jack widział w oddali czarny pas szosy i przez jeden straszliwy moment pomyślał, że się spóźnił. Od strony miasta jechał biały samochód.

Nie, to nie jej auto. Za duże.

Kiedy odebrał telefon od Oza, nie miał już szans dogonić Roxanne samochodem. Jedyne jazda konno przez pustynię dawała mu jeszcze cień nadziei. Po kilku minutach podjeżdżał do pobocza szosy. Już po chwili na horyzoncie pojawiła się kolejna biała kropka. Milo szarpnął łbem i zarżał. A Jack czekał.

Roxanne zwolniła, gdy rozpoznała, kto dosiada kasztanowego konia. Serce przepelnione nadzieją zaczęło bić mocniej, ale uspokoiła je całą siłą woli. To, że tu przyjechał, nie musi nic znaczyć. Z trudem łapała oddech. Powietrze było ciężkie i gorące, zupełnie jak tamtego dnia, gdy Jack znalazł ją przerażoną na pustyni.

Jack zsiadł z konia i przerzucił wodze przez poręcz starego ogrodzenia.

- Muszę ci podziękować - odezwał się. Tego się nie spodziewała.

- Za co? Za zrujnowane życie?

- Ojej - skrzywił się.

- Dobrze mnie oceniłeś.

- Nie, kochanie. - Podszedł bliżej. - Myliłem się. Pozwoliłem, żeby moje obawy przytłoczyły inne emocje. Zbyt pochopnie przestałem ci ufać.

Teraz mogę mieć tylko nadzieję, że mi wybaczysz.

- Cóż, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Jak się ma Ginny?  
- Dose dziwnie się zachowuje. Od kilku godzin nie wypuszcza z rąk pudelka z pozytywką i powtarza, żebyś' do nas wróciła. A na drogę dała mi to. - Jack sięgnął do kieszeni i wyciągnął miedzianą monetę. - Nie wiesz, o co tu chodzi?

Roxanne wpatrywała się w pieniążek.

- To tajemnica - odparła w końcu.

- Wiesz, jestem ciekaw... - zaczął i popatrzył na drogę. Szosą przejechała ciężarówka. Kierowca klaksonem pozdrowił Jacka. - Jestem ciekaw, czy zastanawiałaś' się nad miesiącem miodowym.

To pewno hałas na szosie zniekształcił jego słowa.

- Słucham?

- No wiesz. Miesiąc miodowy. Może na przykład Niagara? Słyszałem, że warto zobaczyć tamtejszy rezerwat. Zawsze mnie interesowało, czy jest na świecie kobieta, która zechciałaby spędzić miesiąc miodowy pod namiotem.

A więc nie przesłyszała się! Czy to możliwe, że Jack prosi ją...

Otoczył dłońmi jej twarz.

- Któregoś dnia powiedziałem ci, że mam wszystko, czego można pragnąć, ale byłem w błędzie. Zeszłej nocy zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu jestem beznadziejnie, po uszy zakochany. Nie zamierzam zmarnować tej szansy, chyba że ty mnie nie kochasz.

Przytuliła mocniej jego dłonie do swojej twarzy i całując jego palce, wyszeptała:

- Och, Jack...

- Potrzebuję cię teraz, tu, w moim domu, w moim łóżku. Tylko ty możesz dać mi szczęście. Mnie i Ginny. Jestem pewien, że i ja potrafię sprawić, żebyś była szczęśliwa. Kocham cię!

- Ja chyba śnię - szepnęła przez łzy.

- No nie, tylko nie płacz. - Palcami ścierał łzy z jej policzków.

Pochylił się i pocałował ją mocno i czule. W jego pieszczotach kryło się wiele obietnic.

- Czy zechcesz przyjąć ranczo, ludzi, zwierzęta, a przede wszystkim mnie i Ginny? Czy zechcesz zostać tu na zawsze? Bo tylko takie rozwiązanie jest możliwe. Na zawsze, Roxanne, na całe życie.

- I jeszcze chcę mieć dziecko - wyszeptwała.

- Ile tylko dusza zapagnie - odszepnął.

- Kocham cię - powiedziała.

Jack objął Roxanne i z uśmiechem popatrzył w jej oczy.

- Zamknij samochód. Później po niego przyślę - postanowił po krótkim namyśle.

Dosiadł Milo i pomógł Roxanne usiąść za sobą w siodle. Kiedy spiął konia do biegu, otoczyła Jacka ramionami i przytuliła policzek do jego rozgrzanych pleców.

Jechali w stronę rancza.

Do domu.

## **EPILOG**

Babcia Neli do swojej nowej żółtej sukienki włożyła nowy żółty kapelusz. Pozostałe panie z zespołu Słoneczniki też ubrały się na żółto, chociaż występ odbywał się w radiu, a publiczność, która czekała z tortem i ponczem, była nieliczna.

Ginny przyciągnęła sobie krzesło, żeby przez szybę móc popatrzeć, jak cztery starsze panie przygotowują się do wykonania piosenki. Nancy Kaufman, która siedziała przed konsolą, z synkiem na kolanach, odczytywała przygotowaną przez Roxanne zapowiedź. Nie było w niej ani słowa o tym, ile trudności i przeciwności losu trzeba było pokonać, żeby zespół mógł zaśpiewać swoją ostatnią piosenkę.

- Prześlicznie się prezentują - cieszyła się Grace. Sa-mantha, jej maleńka córeczka, spała u Carla na ręku.

- Wyglądają na szczęśliwe - zauważyła Roxanne. I zdrowe, dodała w duchu.

Sal pomachała do Ginny. Potem odszukała wzrokiem Roxanne i uśmiechnęła się.

Oczy Roxanne wypełniły się łzami.

- Tylko nie płacz, kochanie - poprosił ją Jack.

- Jestem w ciąży - odparła. - Ostatnio wyłącznie jem i płaczę.

Roześmiał się. Nancy zakończyła zapowiedź i wcisnęła

guzik. W studiu rozbrzmiały tony nagranych wcześniej podkładów muzycznych. Słoneczniki zaczęły swoją piosenkę.

W tej samej chwili Roxanne poczuła w ciele delikatne łaskotanie. Nie miała wątpliwości, to pierwsze ruchy jej dziecka. Sięgnęła za siebie i oplotła ręce Jacka wokół swojego brzucha.

- Co się dzieje? - szepnął zdziwiony.

- Dziecko się poruszyło. Może będzie śpiewać, jak prababcia.

- Albo babcia - uzupełnił, całując ją w czubek głowy. Przymknęła oczy i oparta plecami o męża pozwoliła, by muzyka wypełniła jej duszę.